– Gdzie tak lecicie, Nowakowa? – krzyknęła za biegnącą kobietą Rachela, która razem z córką rozwieszała na podwórku pranie.

– Wszystkie letą, to ja też. Coś sie ta stało na Rynku. Tyle naroda podobno sie zbiegło.

– Sara, leć no, też zobacz. Ja za ciebie skończę wieszać, już niedużo zostało.

– Zaczekaj mame, bo znowu bóli dostaniesz. Na chwilkę polecę i zaraz wracam.

– Te parę portków, to dam radę. Leć już.

Wybiegając z bramy Sara o mało co nie wpadła na sąsiada, starego Żyda.

– Utopił się biedak! Utopił. Co za straszna śmierć. Niech lepiej panienka nie idą. Niech lepiej nie patrzą. Straszna śmierć, straszna – lamentował, kiwając cały czas głową i szarpiąc swoją długą, siwą brodę.

Rachela usłyszała słowa sąsiada i podeszła bliżej.

– Sara! Czekaj – wstrzymała ją ręką. Kto się utopił? – spytała przejęta.

– Taki młody on. Ja nie znam tych młodych. Strażaki już jego wyciągli.

– Ale, co się tam stało?

– Chyba on szukał czegoś do jedzenia. Po śmietniku łaził i wpadł do szamba – stary Żyd miał łzy w oczach.

– Pójdę mame.

– Nie pójdziesz! Dobrze sąsiad radzą. Po co on ma ci się po nocach śnić.

– Rachela ponownie zwróciła się do staruszka i drżącym głosem zapytała.

– Ale mojego Dawida przecie znacie?

– Ty matko nie obawiaj się. Znam syna twojego. To nie on.

Tymczasem na podwórku pojawił się sąsiad z kamienicy obok.

– Niepotrzebnie chodziłem. Straszny widok. Taki młody chłopak. Podobno siedemnaście lat dopiero co skończył.

Leży tam jeszcze, ale już go przykryli. Policji pełno. Nie daj Boże nikomu takiej śmierci.

– A wy, nie wiecie, kto on? – Rachela zwróciła się w stronę mężczyzny.

– Jakiś Kamieński, czy Kamiński. Mieszkał gdzieś tu, koło Zelowa podobno, ale od niedawna, bo dopiero co się sprowadzili.

Racheli już całkiem ulżyło, kiedy po raz drugi usłyszała, że to ktoś obcy. Zaraz też wstyd się jej zrobiło, że w ten sposób zareagowała, a jednocześnie i żal chłopaka.

– Wszystkiemu winna bieda, pani Berkowic. Nie każdego stać dziś na chleb. Ciężkie czasy nastały – mężczyzna machnął ręką i odszedł, mówiąc coś jeszcze do siebie.

– Tak ciężkie czasy – powtórzyła Rachela, patrząc na córkę. – Ale żeby tylko zdrowie było i rodzina – objęła Sarę i przytuliła – to z pomocą Bożą, jakoś to będzie.

Na szczęście pomoc nadeszła jednocześnie z dołu i z góry. Z dołu, od wojewody łódzkiego – przyszły środki finansowe, które nowo wybrany wójt – Kazimierz Gil i Opieka Społeczna rozdały najbardziej potrzebującym, a z góry, bo zadziałała Siła Wyższa i zrobiło się w końcu ciepło. Słońce osuszyło pola i można było rozpocząć prace polowe. Po najtrudniejszym od wielu lat przednówku ludzie znów uwierzyli w przychylność Bożą i w późne, ale obfite plony.

***

Jak tylko minęły większe przymrozki zebrano murarzy chętnych do pomocy przy pracach wewnątrz kościoła, którzy, żeby zdążyć na czas, pracowali do późna w nocy. Lokalny malarz artysta, absolwent Akademii Sztuk Pięknych, Zygmunt Grajnert, namalował obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który zawieszony został w ołtarzu głównym. Wierni ufundowali też dzwony, w tym jeden pani Józefa Czarnota, zelowska restauratorka. 10 maja podczas uroczystej Mszy Świętej dzwony konsekrowano.

Zawisły w pobudowanej rok wcześniej wieży kościelnej, aby po wsze czasy zwoływać do świątyni na Słowo Boże. Rozbrzmiewały na co dzień i od święta, także podczas uroczystości Bożego Ciała, niosąc szerokim echem radosne przesłanie dla wszystkich katolików z Zelowa i okolicznych wsi:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas Panie" – niosły się słowa modlitwy wiernych.





Boże Ciało. Ksiądz Jan Grodkiewicz.



Uroczystość Bożego Ciała. Ołtarz przed budynkiem gminy Zelów.

Konfirmacja

Dawid ukończył Szkołę Powszechną z wyróżnieniem. W nagrodę otrzymał piękne wydanie trylogii Henryka Sienkiewicza. Po powrocie do domu, wszedł najpierw do ojca.

– Zobacz tate – powiedział uszczęśliwiony.

Salomon obejrzał świadectwo i nagrodę.

– Jestem bardzo dumny z ciebie. Mądrość to wielka cnota, a wiedza jej pomocnica – wyciągnął rękę i pogratulował synowi.

Dawid pośpieszył do matki.

– Mame! Mame! – krzyczał już z daleka.

– Co się dzieje? – Rachela wystraszyła się nieco, ale kiedy zobaczyła uśmiechniętego syna, biegnącego w jej stronę zrozumiała, że to z radości.

– Leć i pochwal się kolegom – ucałowała go w czoło.

Chłopak zawrócił w miejscu i już go nie było.

Zenek siedział w cieniu przy piekarni ojca i karmił starego „Cukra". Kiedy zobaczył biegnącego kolegę, krzyknął w jego stronę:

– Pali się, czy co?

– Zobacz, dostałem nagrodę – odpowiedział zdyszany chłopak.

– No, no. Zawsze wiedziałem, że najlepiej się uczysz. Też bym mógł w zeszłym roku dostać, tylko mi się nie chciało. A tak przy okazji, to ja i moi rodzice, zapraszamy cię na niedzielę na konfirmację, a po niej na obiad do domu. Mama zrobi pyszny rosół i kluski z duszoną marchewką i makiem. Frankowi już wczoraj mówiłem.

Zenka czekał przed konfirmacją dodatkowy sprawdzian, ale był on do niego starannie przygotowany. Podczas egzaminu pytania zadawał mu pastor Wilhelm Fibich, a chociaż były trudne, chłopiec nie miał większego problemu z odpowiedziami i zdał celująco.

W kościele, który pobudowano w 1825 roku, zebrali się liczni członkowie zelowskiego zboru oraz zaproszeni goście, a wśród nich Franek i Dawid. Po nabożeństwie konfirmacyjnym wszyscy konfirmanci otrzymali pamiątki w postaci dyplomów. Ustawili się też do wspólnego zdjęcia w przykościelnym ogrodzie. Pan Bolesław Grajnert – fotograf, dwoił się troił, aby ustawić wszystkich w jak najlepszych pozach.



Przy kościele ewangelicko-reformowanym. Pastor Wilhelm Fibich – 1936 r.

Przyjęcie u państwa Pejgów odbyło się w ogrodzie. Stoły ustawiono w cieniu starej lipy. Potrawy i wypieki czeskiej kuchni, z których słynęła gospodyni domu, były dla Dawida nowością. Smakowały mu bardzo. Szczególnie křupačka z młodej kapusty ze skwarkami i staroczeskie ciasto z marchwią.

– Ty! – Dawid szturchnął Franka w bok. – Co ci jest?

– Mnie? Nic – speszył się chłopak.

– Przecież widzę, więc nie bujaj.

Franek tylko wzruszył ramionami, ale zarumienił się nieco.

– Nie chcesz mówić, to nie.

Kolega podrapał się w głowę i wydukał.

– No, bo… no, bo… ładna jest ta Milena…

Nauka zawodu

Pierwsze dni wakacji Dawid przeznaczył na wypoczynek. Odwiedził ciotki i kuzynów, którzy już w ubiegłym roku zamieszkali u Gliksmana. Szczególnie lubił starszego o dwa lata od siebie Berka i malutkiego Abramka. Poszedł też na budowę do Franka i do piekarni – do Zenka. Pomagał w domu, ale najchętniej zamykał się na swoim stryszku, czytał książki i rozmyślał.

– Sara. Leć córcia do sklepu po jajka i mąkę, bo brakło – powiedziała Rachela, przeglądając kuchenną szafkę.
– A Dawid nie może? Tylko na tej górze siedzi i bąki zbija.
– No, racja. Wołaj go. Ty mi później pomożesz. Zrobimy ciasto. Dawno nie było.
– Z rabarbarem?
– Z rabarbarem – uśmiechnęła się do córki. – Tylko też go musi kupić. Wołaj go.
Sara wyszła na korytarz i weszła na pierwsze stopnie schodów wiodących na strych.
– Dawid! Dawid! Mame cię woła.
Wołanie Sary wyrwało chłopca z miłego rozleniwienia. Zszedł powoli.
– Masz tu pieniądze, leć do sklepu. Kup mąkę, 10 jajek i rabarbar. Czekaj! Idź do kaszarni, wiesz tej po drugiej stronie Rynku i kup 2 kg kaszy, u nich najtaniej.
W tym momencie do kuchni wszedł ojciec Dawida.
– Gdzie ty lecisz?
– Po zakupy go wysyłam – odpowiedziała Rachela.
– Jak wrócisz, wejdź do zakładu. Czas już zacząć przyuczać się do przyszłego zawodu, bo widzę, że tobie ostatnio się nudzi.
– Dobrze, tate. Wiedziałem, że kiedyś to powiesz.
Ojciec krok po kroku wprowadzał Dawida w arkana krawiectwa. Chłopak przykładał się do nauki, ale bez zbytniego entuzjazmu.

– Dobry będzie chajet z ciebie – pochwalił syna i położył rękę na jego ramieniu. – Najważniejsze, to dobrze zmierzyć i skroić. W tym cała jest sztuka. Jak już się ty nauczysz, to kupimy druga maszyna i wtedy... – Salomon cmoknął ustami. – I szyld zmienimy. Na „Salomon Berkowic i syn".



Maszyna do szycia – „jedyna żywicielka" rodziny Berkowiców.

Chłopak uśmiechnął się i spojrzał na ojca.
– To do spółki tate mnie weźmiesz? A ile ja będę zarabiał?
Tym razem uśmiechnął się Salomon.
– Dogadamy się, dogadamy – poklepał syna po ramieniu i podszedł do szeroko otwartych drzwi, przez które wchodziło poranne, letnie słońce.
– O! Twój kolega biegnie.
Franek wpadł do pomieszczenia, jak zwykle, jakby się paliło.
– Dzień dobry.
– Dzień dobry – odpowiedział Salomon i żartując sobie z chłopaka ukłonił się nisko. – Co Jaśnie Pana sprowadza w nasze skromne progi? Może garniturek trzeba uszyć, a może być, że płaszczyk na zimę albo ciepłe gatki?
– Nie, dziękuje – Franek uśmiechnął się, widząc ojca kolegi w tak dobrym humorze. – Ja do Dawida, panie Berkowic.
– Tak też i myślałem. Pogadajcie sobie, a ja pójdę do kuchni. Zobaczę, co tam moja Rachela dzisiaj na obiad zamiaruje.

Franek usiadł obok kolegi.

– Słuchaj, Dawid. Jutro jade do Bujen, do babci. Bede przy żniwach pomagał. No i na grzyby sie skoczy. Ciocia dzisiaj z samego rana mamie przyniosła. Mówie ci, jakie czerwone koziary i prawdziwki – jak dęby. Jeden, to taki kapelusz miał… Jak nie przymierzając – talerz.

– Ze szkła? – spytał Dawid udając zdziwienie.

– O! Widze, że cała rodzinka dzisiaj w dobrym humorze. No dobra. Pojedziesz z nami na dwa dni? Naszą ziemianke odwiedzimy. Zenek już sie zgodził.

Tuż przed letnimi Igrzyskami Olimpijskimi w Berlinie pan Szkudlarek zawołał syna do pokoju.

– Rozmawiałem z mamą i zgodziła się, że możemy kupić.

– Co? – spytał zdziwiony Franek.

– Jak to, co? Przecież chciałeś mieć radio.

– Będziemy mogli posłuchać Igrzysk! – chłopak rzucił się z radości ojcu na szyję.

– Właśnie. Dlatego już w poniedziałek pójdziemy do sklepu Perlicjusza i kupimy, ale Detefon, to zwykłe. Nie potrzebuje prądu tylko anteny, słuchawek i uziemienia do jakiegoś zakopanego metalowego wiadra czy innego metalowego przedmiotu i kosztuje tylko 39 zł, a nie jak lampowe – 160.

1 sierpnia Franek założył na uszy radiowe słuchawki. Z rozpalonymi policzkami słuchał głosu spikera, który dobitnym głosem relacjonował przebieg uroczystości otwarcia olimpiady:

„Po raz pierwszy znicz olimpijski zapalono od ognia z Greckiego Olimpu. Przeniesiony został w sztafecie złożonej z 3331 biegaczy. Szanowni słuchacze. Dzisiejsze otwarcie Igrzysk, jak i przebieg rywalizacji w poszczególnych konkurencjach można słuchać przez radio i po raz pierwszy obejrzeć w przekazie telewizyjnym".

Poród

Nadszedł czas rozwiązania. Rachela nie czuła się najlepiej. Całą noc nie spała. Bóle były coraz częstsze i coraz silniejsze. Siostry Racheli przyszły już rano i zaczęły przygotowania do porodu. Zasłoniły okno, nagrzały wody, naszykowały czyste ściereczki, pościel i prześcieradła. Estera zbliżyła usta do ucha Marty i wyszeptała.

– Trzeba by posłać po akuszerkę. Chyba nie jest tak, jak powinno. Spójrz na nią.

Rachela była blada. Miała potargane włosy. Trzymając się obiema rękami za brzuch z trudem oddychała. Marta wyszła i uzyskała od Salomona zgodę na wezwanie pomocy. Pobiegła po nią Sara.

Akuszerka mieszkała przy Rynku. Chwalili ją, bo znała się na rzeczy i dobrze się sprawiała. Pani Fryt, ale wszyscy mówili Frytka. Młoda, żwawa kobieta o dość pokaźnej figurze rzuciła swoją robotę i natychmiast udała się do Berkowiców. Po drodze dokładnie wypytała dziewczynę, jak się sprawy mają i kiedy dotarła na miejsce od razu zajęła się rodzącą.

Zaczął się poród. Rachela szybko i łapczywie łapała powietrze. Co chwilę jej twarz wykrzywiała się pod wpływem bóli porodowych. Frytowa wcisnęła jej do ust kawałek szmatki.

– Trzymaj zębami i przyj! – wrzasnęła.

Rodząca spojrzała na nią błędnym wzrokiem.

– Przyj, mówię! Do cholery! Przyj! – nacisnęła kilkakrotnie na jej brzuch, jakby chciała wycisnąć dziecko z kobiety.

Rachela niemal mdlała z bólu i wysiłku. Wielokrotne próby trwały niemal godzinę. W końcu pojawiła się zakrwawiona główka dziecka, a po chwili reszta ciała. Akuszerka odcięła pępowinę. Dziecko złapało pierwszy oddech i zapłakało.

Salomon cały czas był z dziećmi w sąsiedniej izbie. Stali razem po środku mieszkania. Trzymali się za ręce. Ojciec głośno wymawiał słowa modlitwy, a dzieci powtarzały po nim.

Minęło już kilka godzin w strachu o zdrowie i życie kobiety i dziecka. Kiedy usłyszeli płacz noworodka, spojrzeli po sobie, ale modlitwy nie przerwali. W końcu Frytowa wyszła z izby i podeszła do Salomona.

– Masz córkę oznajmiła, ale żona jest bardzo chora. Straciła dużo krwi.

Salomon przyjął wiadomość z powagą.

– A cóż Frytowa na nią myśli?

– Myślę, że czas pokaże, ale trzeba by wezwać doktora.

– Frytowa niech przy niej zostanie. O zapłatę niech się nie martwi. Dam, ile trzeba. Po doktora sam muszę.

Nałożył szybko kapotę i wyszedł.

– Możemy do mame? – spytała Sara.

– Teraz śpi, ale wejść można.

Lampa naftowa wisząca przy suficie płonęła słabym płomieniem. W izbie panował półmrok. Rodzeństwo podeszło cicho najpierw do ciotki trzymającej na rękach śpiące niemowlę.

– Nasza mała siostrzyczka – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do dziecka.

– Jaka malutka – dodał ze zdziwieniem Dawid.

Potem zbliżyli się do matki. Usiedli przy łóżku. Sara zaczęła cicho płakać.

– Mamele! Mamele! – łkała.

Dawid delikatnie położył swoją rękę na ręce matki.

„Mame – myślał w duchu. – Moja mame... Ty będziesz zdrowa. Ty mnie znowu na obiad zawołasz... Ty, ty... Mame... Ja ciebie tak mocno kocham... I potrzebuję, że...".

Myśli syna krążyły wokół matki. Gardło ściskał głęboki żal i smutek tak wielki, że jemu także napłynęły łzy do oczu i zaczęły spływać po policzkach. Jeszcze kilka dni temu była zdrowa, wesoła i dobrej myśli. Jeszcze kilka dni temu żartowali i zgadywali: czy będzie brat, czy siostra? A mame mówiła: „Co Bóg da, tak będzie".

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Sara do Dawida chlipiąc i pociągając nosem. – Pani Frytowa. Dobrze będzie, prawda?

– Tak, tak – odpowiedziała niezbyt pewnie kobieta – czasem tak bywa.

A do siebie dodała pod nosem.

– Dużo krwi, za dużo.

Salomon poszedł prosto do doktora Łuczyńskiego. Chciał mieć pewność, że dzięki temu zapewni żonie najlepszą opiekę.

Doktor mieszkał w drewnianym domu, przy ul. Kościuszki 37. W małym korytarzyku czekało na wizytę dwóch pacjentów. W gabinecie był jeszcze jeden. Salomon kłaniał się nisko. Wyjaśnił czekającym powód swojej wizyty. Kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się, wszedł za ich zgodą do środka. Za biurkiem siedział elegancko ubrany mężczyzna w sile wieku, z małym wąsikiem i krzaczastymi brwiami, które zdradzały jego gwałtowne usposobienie. W gruncie rzeczy był to jednak człowiek o gołębim sercu.

– Panie doktorze – zaczął, kłaniając się kilkakrotnie – Frytowa mówi, że źle z moją żoną, że doktor potrzebny – wyjaśnił, co się wydarzyło.

Lekarz przeprosił pacjentów, ubrał się i poszedł razem z Salomonem. Kiedy dotarli na miejsce, Rachela już nie żyła.

Salomon stał przed łóżkiem, jak posąg. Nie mógł uwierzyć, że Bóg odebrał mu żonę. Osobę, którą tak bardzo kochał, która była dla niego podporą, dobrą matką dla dzieci i dobrą gospodynią. „Kolejna świeca złamana na pół[47]" – myślał.

Stał długo i nie widział, nie słyszał, co się wokół niego dzieje. Tylko łzy płynęły mu po twarzy. Obecni w izbie, widząc to, wy-

[47] *Świeca złamana na pół – świeca – żydowski symbol oznaczający kobietę. Złamana na pół – symbol gwałtownej, niespodziewanej śmierci.*

cofali się i wyszli. Czekali długo na Salomona, a kiedy wyszedł, Frytowa podała mu nowo narodzone dziecko.

– To twoja córka. Rachela dała za nią życie.

Mężczyzna wziął dziecko i trzymając przed sobą w wyciągniętych rękach przez dłuższą chwilę patrzył obojętnie na pomarszczoną jeszcze twarzyczkę śpiącego maleństwa. Różne myśli przychodziły mu do głowy, lecz po chwili przytulił ją i rzekł:

– Dzisiaj Szabas. Więc nadam tobie imię - pocałował dziecko w czoło. – Wyrośniesz na dobrą i piękną kobietę, jak twoja matka, a zwać cię będą Miriam.



Doktor Włodzimierz Łuczyński z żoną Narcyzą.

Zaraz po śmierci Racheli trzeba było pomyśleć o dziecku. Na szczęście w sąsiedztwie była niejedna żydowska kobieta, która

w tym czasie karmiła piersią. Sąsiadka Rajka, młoda żydówka, zgodziła się zostać mamką dziewczynki. Resztą zajęła się Sara, której w przysposobieniu do opieki nad Miriam pomogły ciotki.

Niezwłocznie też rozpoczęli przygotowania do pogrzebu. Zajęli się tym Żydzi z Chewra Kadisza[48]. Zasłonili lustra i wylali wodę z naczyń. Umyli i ubrali zmarłą w składający się z sześciu części, biały, płócienny strój – tachrim. Zawinęli zesztywniałe ciało w prześcieradło i ułożyli nogami do przodu – na szerokiej desce, która obita wkoło listwami tworzyła płytkie korytko z długimi rączkami, tzw. mary. Po rytualnych czynnościach Rachela przygotowana była do jej ostatniej drogi, która miała się odbyć jeszcze tego samego dnia.

Na dworze zebrali się żałobnicy, aby towarzyszyć zmarłej. Wóz ciągnięty przez jednego konia już czekał. Złożyli na nim ciało i kondukt żałobny ruszył ulicą Kilińskiego w kierunku cmentarza. Najpierw szli mężczyźni, później kobiety i dzieci. Z sąsiednich kamienic dołączali sąsiedzi i gapie. Szli powoli, zatrzymując się trzykrotnie. Szli w milczeniu, z wyjątkiem czterech kobiet, które jedną ręką trzymały się wozu, drugą machały i pocierały sobie po twarzy.

– Aj! Waj! Aj! Waj! Uuu!!! – głośno krzyczały i zawodziły.

Na pierwszych rozstajnych drogach kobiety rozeszły się na wszystkie strony. Część z nich bocznymi ulicami zmierzało w kierunku cmentarza, aby przez szpary w płocie obserwować dalszą część pochówku. Mężczyźni i rodzina szli dalej.

Zelowski kirkut otoczony był wysokim, drewnianym płotem z wejściem od ulicy Leśnej. Przy bramie była studnia do rytualnego obmycia. Większość cmentarza pokrywały zwykłe i malowane macewy[49], ale były także ohele[50] wśród których wyróżniał

---

[48] *Chewra Kadisza – bractwo pogrzebowe.*
[49] *Macewa – żydowska, pionowa płyta nagrobna.*
[50] *Ohel – niewielki żydowski grobowiec.*

się grób zmarłego dwa lata wcześniej zelowskiego fabrykanta – Jakuba Lewiego. Na wielu grobach leżały kamyki. Zgodnie z tradycją miały przypominać o dawnych czasach, kiedy to grzebano zmarłych na pustyni, a ciało okładano kamieniami w celu zabezpieczenia zwłok przed drapieżnikami. Wiele starszych macew, pochylających się już ku ziemi, zarośniętych było trawą i krzewami. Nikt i nic nie powinno zakłócać spokoju zmarłym, dlatego nie podnoszono ich i nie sprzątano na grobach.

Wóz zatrzymał się przed bramą. Mężczyźni wnieśli ciało zmarłej na żeńską część cmentarza i tak jak je przywieźli, zawinięte w całun, złożyli do głębokiego grobu. Ułożyli ją twarzą w kierunku świętego miasta Jeruzalem. Salomon odmówił kadisz[51]. Każdy z obecnych wrzucił do grobu, na pożegnanie, garść piachu i bez słowa odchodził. Teraz Rachela razem z innymi miała oczekiwać na dzień Sądu Ostatecznego. Dzień, w którym wszyscy zmarli powstaną na wezwanie Mesjasza.

Pamiętnik

Życie toczyło się dalej. Raz przynosiło smutek i żal, a raz radość i wesele. Nadszedł czas Chanuki, święta ustanowionego dla upamiętnienia zwycięstwa Żydów nad najeźdźcami, którzy w II wieku p.n.e napadli na świątynię w Jerozolimie, ograbili ją i nakazali kult bogów greckich. To radosne święto trwa osiem dni.

– Dziękujemy ci panie za to, że dałeś nam życie, zachowałeś nas i doprowadziłeś do dnia dzisiejszego – Salomon wymówił słowa modlitwy, zapalając pierwszą ze świec – szamasz, znajdującą się po środku chanukija – dziewięcioramiennego świecznika, a od niej drugą, na znak pierwszego dnia Chanuki i postawił

[51] *Kadisz – modlitwa żałobnika.*

świecznik na oknie, tak aby światło świec było widoczne przez wszystkich.

Dla rodziny Berkowiców było to pierwsze święto bez żony i matki. Czas przygnębienia i żalu po utraconej, ukochanej osobie. Jedyną radością i centrum zainteresowania domowników była teraz mała Miriam. Z pomocą ciotek i mamki, Sara opiekowała się siostrzyczką. Przejęła wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem domu i opieką nad dzieckiem. Nie skarżyła się. Wykonywała nowe zadania z miłości i w poczuciu obowiązku wobec rodziny i zmarłej matki. Dziewczynka była zdrowa. Jadła i spała, spała i jadła, czasem tylko zapłakała miłym, cichym głosikiem, jakby chciała pożalić się całemu światu, że nie ma już tej, która nosiła ją pod sercem i której głos słyszała i rozpoznawała w czasie swojego krótkiego jeszcze życia.

Już ponad miesiąc upłynął od śmierci Racheli, jednak ból po jej stracie był ciągle żywy. Był to trudny okres w życiu całej rodziny, ale Dawid przeżywał stratę matki najboleśniej. Leżał na strychu na starym materacu. Patrzył na padający za oknem deszcz i rozmyślał.

„Żyć trzeba dalej i wypełniać swoje obowiązki" – tak powiedział ojciec. Pewnie ma rację. Trzeba żyć, ale nie zapomnieć o mamie... Tylko, to takie trudne. Przecież tak bardzo ją kochał, jak nikogo innego na świecie... Jak ma chodzić do szkoły? Jak jeść, pić, spotykać się z kolegami, kiedy myśli tylko o tym, że już jej nie ma? On tak nie potrafi. Przecież to niemożliwe. Czy Sara i tate będą mogli tak żyć? Nie. Niemożliwe. A jednak ludzie wciąż umierają... Nie ma tygodnia, żeby Franek nie był na jednym, czy dwóch pogrzebach. Nie ma tygodnia, żeby nie jechał karawan od strony czeskiego kościoła. Nie ma tygodnia, żeby nie było słychać zawodzenia żydowskich płaczek... A żywi pozostają... Muszą pracować, zajmować się bliskimi. No, bo co by bez nich poczęła mała Miriam?

Kiedy zmarli jego dziadkowie, był jeszcze mały. Trochę ich pamięta. Dziadek naprawiał buty. Babcia krzątała się w kuchni i dawała mu mleko, a dziadek śmiał się, że ma białe wąsy. Tylko tyle. Niewiele. Czy o tym też kiedyś zapomni? Czy pamięć o nich zaginie? Przecież to jego przodkowie. Krew z krwi, kość z kości. W Biblii wszystko jest spisane, żeby następne pokolenia pamiętały... Czy o mnie kiedyś zapomną? I o mame?"

W tej samej chwili, aż podskoczył na myśl, która wpadła mu do głowy.

– Nie pozwolę na to – powiedział do siebie głośno. – Będę wszystko spisywał. Napiszę pamiętnik. Napiszę o mame, o tate, o Sarze i małej Miriam, i o kolegach, i o szkole. Wszystko będę pisał. Ale najwięcej napiszę o mame, żeby Miriam mogła kiedyś o niej przeczytać i poznać ją i pokochać, jak my ją kochaliśmy.

Był grudniowy, zimny wieczór. Dawid usiadł w zakładzie ojca przy „małej kozie"[51]. Wziął zeszyt, kałamarz, obsadkę ze stalówką i zaczął pisać.

Pamiętnik Dawida Berkowica. Zelów, dnia 19 grudnia 1936 roku

Urodziłem się 5 sierpnia 1921 roku w Szczercowie. Mój Tate nazywa się Salomon Berkowic. Moja zmarła Mame nazywała się Rachela Berkowic. Mam też Siostrę – Sarę, starszą ode mnie o cztery lata i młodszą – Miriam, która ma dopiero 2 miesiące. W Zelowie mieszkam od 1933 roku. Kiedy się spaliliśmy i było bardzo ciężko, Tate powiedział, że musimy się gdzieś wyprowadzić i zacząć od nowa, no i wybrał tą czeską osadę, bo naszych też dużo tu mieszka.

Odłożył na chwilę przybór do pisania i zamyślił się.

[51] *„mała koza" – gwarowo piecyk.*

Nie o to mi chodziło. Chciałem pisać o tym co myślę, a nie opisywać dzień po dniu, co się wydarzyło – starał się ułożyć sobie w głowie formę swojego pamiętnika. No, ale jakieś informacje też muszą być. Może kiedyś ktoś to przeczyta i co? I nie będzie wiedział, o kim mowa.

Ta myśl pokrzepiła go nieco. Wziął się ponownie do pracy.

Niedawno umarła moja Mame. Bardzo ją kochałem. Wszyscy ją kochaliśmy. Umarła przy porodzie Miriam. Bardzo kocham moją Siostrzyczkę, ale dlaczego...? Czy takie są wyroki Boskie? Mogły żyć obie. Bóg zabiera nam to, co jest dla nas najdroższe, co najbardziej kochamy. Tate mówi, że On nas doświadcza. Pewnie ma rację, ale jesteśmy przez to nieszczęśliwi, a czy Bóg chce, żebyśmy byli nieszczęśliwi? Bardzo mi brakuje mojej Mame. Była przy mnie zawsze, kiedy jej potrzebowałem. Każdego dnia. Tylko ja ciągle gdzieś biegałem i nie miałem czasu, żeby z nią posiedzieć i porozmawiać. Teraz mogę do niej mówić tylko w myślach. Wierzę, że mnie słyszy, że czuwa nad nami. I na pewno chce, żebyśmy byli szczęśliwi i dawali sobie radę.

Tate mówi, że teraz jest źle, ale będzie lepiej. No, tak. Teraz to już tylko dobre lata nas czekają, bo nieszczęścia podobno chadzają parami. W trzydziestym trzecim się spaliliśmy, a w trzydziestym szóstym zmarła Mame. To już koniec naszych nieszczęść.

Dawid przeciągnął się i ziewnął. Spojrzał na ojca, który szył jeszcze, ale spieszył się, żeby zdążyć, zanim elektrownia wyłączy prąd. Na ulicach światło paliło się do północy i oczywiście tylko tam, gdzie rozciągnięta była sieć elektryczna, a więc w centrum i na pobliskich, łączących się z nim ulicach. W domach można było korzystać z tego udogodnienia tylko przez kilka wieczornych godzin. Zbliżała się dziesiąta. Żarówka zaczęła mrugać. Znak, żeby przygotować lampy.

Goniec

Po Nowym Roku zima rozgościła się na dobre. Najpierw przyszedł taki mróz, że pękały sztachety w płotach, a w sadach i parkach – gałęzie drzew. Zamknięto szkoły i odwołano lekcje na cały tydzień. Później przyszły duże opady śniegu i wiatr, tak zimny i przenikliwy, że wciskał się w każdą szczelinę, przewiał każde ubranie i wyziębiał, aż do kości.

– Ale dzisiaj zawieja. Zobacz, Sara. Psia pogoda – Dawid odsunął się, aby siostra mogła wyjrzeć przez okno.

– No, pod lampą to dopiero widać, jak sypie. Zobacz, Miriam.

Sara nachyliła dziecko, które tuliła w ramionach, w kierunku szyby.

– Ona jeszcze nie rozumie, co to zima – rzekł Dawid głaskając maleństwo dłonią po policzku.

– To, co? Uczy się. Poznaje świat.

– No, tak. Zobacz, jak się przygląda – dodał zachwycony.

Przez dłuższy czas przyglądali się, jak drobny śnieżny pył gonił gdzieś przed siebie na skrzydłach wiatru. W dół, w górę, i zawracał, i wirował w jakimś dziwnym tańcu.

– A tate tak długo nie wraca – powiedziała Sara i odeszła od okna.

Położyła dziecko w kołysce.

– Martwisz się? Przecież poszedł do Gminy. Ma tam teraz tyle spraw. Dobrze, że tam chodzi. Ciężko mu bez naszej mame.

Nagle drzwi otworzyły się.

– Nu, jestem. Zobaczcie, jak ja wyglądam.

– Tate! Ty wyglądasz, jak niedźwiedź z bieguna.

Salomon ściągnął kapotę i otrzepał ją ze śniegu.

– Wszystko zasypane. W bramie to takie zaspy są, że ja nie mogłem wejść. Jednak mam dobrą nowinę... ale najpierw zrób herbaty, córcia.

– A jaka nowinę? – zapytała Sara.

Ojciec zasiadł przy stole i położył na nim gazetę „Hajnt”[53].

– Coś w dzienniku piszą? – spytał Dawid.

– Nie – ojciec uśmiechnął się tajemniczo. – Mam dla ciebie pracę.

– Dla mnie?

– Dla ciebie. Dobra praca, bardzo dobra. Sami mi zaproponowali. Byłem na spotkaniu naszej Rady. Dużo ważnych spraw omawialiśmy. Będzie synagoga. Już wiadomo, kiedy ją zaczniemy budować i ...

– Tate, ale co z tą pracą? – nie wytrzymał Dawid.

– Nu, tak. Taka praca! – przyłożył palce do ust i cmoknął.

– Wszyscy wiedzą, że u nas teraz ciężko i że zostaliśmy sami. A w Gminie, znaczy się nie w naszej Gminie tylko w zelowskiej Gminie, potrzebny jest goniec, no i… rozmawiałem już z wójtem i praca dla ciebie synu będzie. Możesz zacząć od poniedziałku.

– A co ja mam tam robić?

– Ty dowiesz się, jak pójdziesz. Goniec, to goniec. Taki chłopak na posyłki będziesz. Jak ciebie wyślą gdzieś z jakowymś pismem, to ty je zaniesiesz. Na razie nie na cały etat ty będziesz, ale zawsze to już coś.

– To już nie będę się za krawca uczył?

– Na razie dam ja tobie z tym spokój. Widać Bóg ma inne zamiary wobec ciebie – uśmiechnął się ojciec.

20 lutego 1937 r.

Skończyło się beztroskie i radosne dzieciństwo. Trochę szkoda, ale przecież każdy dorasta. Mężczyzna powinien pracować, założyć rodzinę i mieć dużo dzieci. Tak, jak to jest zapisane.
Na założenie rodziny trochę za wcześnie, ale na nauczenie się czegoś i pomoc w domu, to jestem w odpowiednim wieku.

---

[53] *„Hajnt” – tłum. „Dzisiaj”.*

Zostałem gońcem w gminie Zelów. Trochę się obawiałem, że sobie nie poradzę, ale niepotrzebnie. Nawet mnie już pochwalili, że dobrze się spisuję. Mame byłaby ze mnie dumna.

Moja mała siostrzyczka trochę chorowała. Sara nie spała ze trzy noce, ciągle ją nosiła, ale kiedy przyszła cioteczka Estera, naparzyła jej rumianku i kopru i było lepiej.

Czasem widuję się z Zenkiem i Frankiem, najczęściej wieczorami w piekarni u Zenka, bo tam ciepło. Franek robi teraz na warstacie u ciotki, ale jak tylko minie zima, to znowu pójdzie budować szkołę. Będzie duża i piękna, a nie taka, jak ta nasza...

Purim[54]

Czternasty dzień miesiąca adar[55]. Rozpoczęło się jedno z najbardziej radosnych żydowskich świąt – Purim. Upamiętnia ono uchronienie Narodu Żydowskiego przed zagładą ze strony najeźdźców. W domu Berkowiców przygotowywano się do wyjścia do bóżnicy.

Salomon wszedł do kuchni świątecznie ubrany: w kapeluszu, białej koszuli, czarnych spodniach i długiej kapocie.

– Jesteście wy już gotowe?

– Tak, tate. Tylko jeszcze Miriam owinę, bo ziąb dzisiaj. Gdzie Dawid?

– Do pracy poszedł.

– Dzisiaj? – spytała zdziwiona Sara.

– Nie dla wszystkich dzisiaj święto – Salomon uśmiechnął się z dezaprobatą i wyszedł pierwszy z mieszkania.

[54] *Purim – tłum. Losy. Jedno z najważniejszych świąt żydowskich.*

[55] *Adar – szósty miesiąc w żydowskim kalendarzu świeckim, a dwunasty w kalendarzu religijnym. Przypada na miesiące: luty, marzec w kalendarzu gregoriańskim.*

Bóżnica wypełniona była po brzegi. Rabin stanął na bimie i zaczął mowę:

– Przypomnę wam, narodzie semicki, jak co roku, skąd się wzięło dzisiejsze święto, aby o nim pamiętano po ostatnie pokolenia. Historię o królu perskim Achaszwerosie i królowej Esterze oraz jej przybranym ojcu Mordechaju i ministrze Hamanie opisuje Biblijna Księga Estery, którą zaraz odczytam. Zły i zawistny Haman skazał wszystkich Żydów na śmierć, ponieważ Mordechaj nie chciał mu się kłaniać. Wyznaczono datę zagłady poprzez ciągnięcie losów. Królowa, która była córką narodu wybranego poprosiła swego męża o pomoc. Wynikiem decyzji króla, Haman i jego dziesięciu synów zostali skazani na śmierć.

Po krótkim wstępie rabin rozpoczął modły i czytanie Świętej Księgi. Ilekroć odczytał słowo „Haman", zebrani w świątyni wierni hałasowali, mrucząc i szurając butami, aby zagłuszyć wymówienie imienia złego ministra.

Na zakończenie nabożeństwa rabin życzył wszystkim smacznego posiłku w gronie rodziny oraz przypomniał o zbliżającym się święcie Pesach[56].

Dawid był już w domu, gdzie czekał świąteczny posiłek przygotowany wcześniej przez Sarę. Ryby i słodkie bułeczki z makiem w kształcie trójkątów – „Uszy Hamana", są w tym dniu, zgodnie z tradycją, jego podstawą. Obowiązkowo pije się alkohol i to tyle, aby nie rozróżniać wznoszonych okrzyków:

„Niech będzie błogosławiony Mordechaj!", „Niech będzie przeklęty Haman!"

Po południu rozpoczął się żydowski karnawał. Świętujący Purim przebierają się w różne kostiumy i maski. Mężczyźni tańczą i śpiewają, chodzą po domach przedstawiając historię, która

[56] *Pesach – Święto Paschy. Przaśniki – obchodzone na pamiątkę wyzwolenia Izraelitów z niewoli egipskiej.*

wydarzyła się ponad dwa tysiące lat wcześniej. Obyczaj nakazuje spełniać w tym dniu dobre uczynki i obdarowywać ubogie osoby czymś do jedzenia. Dawid i Sara także zapakowali do koszyka macę[57], ciastka i świąteczne chały, aby rozdać je potrzebującym.

6 kwietnia 1937 r. Wtorek.

Cóż wart jest Naród bez znajomości swojej historii, korzeni, wiary przodków? Jest jak biała ściana, niezapisana kartka.

Naród, to ludzie, a wśród tych ludzi – ja. Czy chciałbym być taką pustą kartką? Człowiek mądry powinien korzystać z mądrości swoich przodków. Przysłowia, które są mądrością narodów powstały z ich doświadczeń, aby przekazać zdobytą wiedzę. Szacunek dla starszych, mądrych ludzi jest bardzo ważny, tego uczy nasza religia. Uczy nas też, że powinniśmy pamiętać o naszej historii i tradycji. Jakże smutno byłoby w domu, gdyby nie święta i tradycje z nimi związane, gdyby nie chwile oczekiwania i przeżywania tego czasu wspólnie z tymi, których kochamy i wspominania tych, którzy byli nam tak bardzo bliscy.

W nowej pracy

Dawid polubił swoją pracę, a kiedy na wiosnę dostał służbowy rower, był już całkiem szczęśliwy. Jeździł w różne zakątki gminy. Przewoził korespondencję do zakładów pracy i osób prywatnych.

– Dawid! – krzyknął urzędowy biuralista. – Pismo do pana Kosika. Drugie do jego cegielni zawieziesz, do majstra. Nazwisko masz na kopercie.

[57] *Maca – chleb przaśny, spożywany przez Żydów w święto Paschy.*



Urząd Gminy Zelów. Posterunek Policji. Koniec lat 30. XX w.
Akcja sadzenia drzewek.

Cegielnia Leona Kosika znajdowała się przy ulicy Cegielnianej, tuż za cmentarzem katolickim. Nadzór nad pracownikami i całym procesem wytwarzania cegieł sprawował Władysław Owczarek. Sezon wypalania cegieł właśnie się rozpoczął i panował tam spory ruch. Uformowane jesienią i wiosną cegły, dobrze wysuszone pod wiatą, układano i szykowano do wypalania. Wjeżdżały do pieca jedną, a wyjeżdżały, jako gotowy wyrób, drugą stroną.

Dawid doręczył list. Nagle spostrzegł kuzynów Franka. Zatrzymał rower przy rozładowujących wózek z cegłami kumpli od piłki.

– Tu pracujecie? – spytał.

– O! Cześć, Dawid. Co tu robisz? – Karol odłożył cegły z powrotem na wózek.



Leon Kosik – właściciel cegielni i fabrykant.

– Pismo urzędowe przywiozłem.

– Ano tu się pracuje – odpowiedział Mateusz i usiadł na pobliskim kamieniu.

– Ciężko jest, ale przynajmniej uczciwie płacą. Nie tak, jak u Kopla. Trochę u niego robiliśmy, ale niezły jest z niego szacher[58]. Ludzi nie ubezpiecza, nie płaci w terminie, albo w ogóle, że niby to na przyuczenie w zawodzie bierze, a później kopa w dupe i do widzenia. Robiliśmy też w farbiarni u Klapiaka, przez miesiąc w cegielni u Frezewitte, u Wigdorowicza w fabryce, ale wszędzie praca tylko dorywcza – Mateusz machnął ręką. – Zresztą, gdzie tu jaką robotę znajdziesz? Niejedne podeszwy zedrzeć można przy jej szukaniu. Tu porobimy przez lato i do Rajcherta pójdziemy. Podobno przyjmuje, bo nakupił nowych krosien – mechanicznych, angielskich. Teraz tam takie hale, że…

---

[58] Szacher – oszust, krętacz.

No, ale musimy kończyć, bo jak majster zobaczą, to z pensji potrącą. Płacą uczciwie, ale nie za gadanie.



Cegielnia Bolesława Frezewitte – 1937 r.
Jan Kaliski (trzeci od lewej w górnym rzędzie).

16 maja 1937 r. – niedziela

Dawno nie pisałem. Teraz, kiedy pracuję, nie mam na to czasu. Jeszcze torfu, węgla, drewna, wody nanosić, i pomóc zakupy robić, i z Miriam się pobawić, a kiedy mam wolną chwilę, to czytam książki. Można się z nich dużo o życiu dowiedzieć. Choćby na ten przykład, że dawniej też byli ludzie bogaci i biedni, uczciwi i nieuczciwi, dobrzy i źli. Kiedy rozwożę urzędowe pisma, to rozmawiam z różnymi ludźmi. Jedni narzekają, że nie mają pracy i nie mają co do garnka włożyć, inni mówią, że dobrze im się żyje,

jeszcze inni – nic nie mówią, siedzą cicho i są coraz bogatsi. Jeżeli są uczciwi i własną pracą na to zapracowali, to dobrze. Ale, czy są tacy wśród tych ostatnich?

Mój Tate jest Żydem. Jest uczciwym, dobrym człowiekiem – wszyscy to mówią, ale niektórzy Żydzi nie są uczciwi, tak jak niektórzy Polacy, Niemcy, czy Czesi. Dlaczego ludzie są nieuczciwi? Może gdyby każdy miał to samo, byłoby inaczej?

1 maja szli ludzie z hasłami i czerwonymi sztandarami. Wyszli z bramy przy Kościuszki. Obeszli Rynek kilka razy. Krzyczeli, że chcą pracy i chleba, że chcą, żeby wszyscy byli tak samo bogaci, żeby mieli wszystkiego po równo. Czy to możliwe? Kiedyś dostaliśmy z Sarą po takiej samej tabliczce czekolady „Wedel". Kiedy siostra nie patrzyła, zjadłem jej kawałek. Smakowała lepiej. Chyba była słodsza.

Pożary

Była ciepła, czerwcowa noc. Z powodu zachmurzonego nieba było bardzo ciemno. Tylko od czasu do czasu na horyzoncie niebo jaśniało, świadcząc o nadciągającej burzy. Tuż po północy wycie strażackiej syreny przerwało sen mieszkańcom osady.

– Pali się. Pali... – z początku ciche pojedyncze głosy, wkrótce przerodziły się w okrzyki wielu obudzonych ludzi. Wyglądali przez okna, wychodzili z na ulicę. Salomon wziął karbidówkę i wyszedł na Rynek. Za nim Dawid i Sara, która tuliła w ramionach wybite ze snu, płaczące dziecko. W oddali, nad dachami domów, z minuty na minutę czerwieniało niebo.

– Tam! Tam! Patrzta! Na Piotrkowskiej się pali! – krzyczała kobieta stojąca najbliżej Berkowiców.

– I tam też! – mężczyzna stojący nieco dalej wskazał w kierunku Żeromskiego.

Z garażu strażnicy Ochotniczej Straży Ogniowej, spod nr 10 przy Rynku, wyjechał samochód strażacki. Na nim strażacy, na czele z naczelnikiem Zygmuntem Wysockim. Drabina, sikawka,

beczka z wodą i ręczna pompa do jej pompowania – wszystko było przygotowane.

– Co się pali? Gdzie się pali? – wołano z tłumu.

– Stodoła na Piotrkowskiej – odpowiedział komuś z gapiów jeden ze strażaków.

– Podobno niejedna – dodał w biegu drugi.

– Tyle pożarów? Specjalnie podpalili – stwierdził młody mężczyzna.

– Jezu, żeby tylko na domy się nie przeniosło – przeżegnała się kobieta w chuście na głowie, a zaraz po niej wielu z zebranych.

Przy przeraźliwym dźwięku, ciągle wyjącej syreny i przy dźwięku strażackiego dzwonka oddział wyruszył do akcji.

– Ktoś podpalił – powiedział Franek, który znalazł się nagle koło Dawida.

– Skąd wiesz?

– Tata mówi, że o „fajer kase" chodzi.

– A skąd tata wie?



Ćwiczenia strażackie.



Od lewej na dole: Zygmunt Wysocki – komendant, Bolesław Frezewitte – jeden z założycieli straży w 1909 r., P. Twardy – radny, w środku z wąsami – wójt Zelowa – Włodzimierz Pospiszył, z kapeluszem – Leon Kosik, obok – Wacław Guderski – jeden z założycieli straży, z szablą – komendant policji – J. Kubke.

– No... nie wie na pewno, ale jak się spali i nie znajdą winnego, a było ubezpieczone, to dostaną odszkodowanie... Patrz tam też się czerwona łuna robi – krzyknął, wskazując kolejne miejsce na widnokręgu.

„Noc pożarów" – długo tak ludzie mówili o tym zdarzeniu i próżno szukali winnych. Na szczęście ogień nie rozprzestrzenił się na sąsiednie zabudowania. Deszcz, który wkrótce zaczął padać, pomógł strażakom i uchronił mieszkańców Zelowa przed katastrofą. Rodzina Berkowiców nie zasnęła już tej nocy. Wróciły straszne wspomnienia sprzed kilku lat...



Rynek w Zelowie. Zelowskie służby antykryzysowe – przedstawiciele Straży Ogniowej i Policji oraz Polskiej Organizacji Wojskowej. W mundurze oficera Wojska Polskiego – Henryk Wyrąbkiewicz z żoną.

***

Nastał kolejny dzień. Słońce dopiero wstało. Jego jasne promienie nieśmiało zaczęły zaglądać przez otwarte okna, jakby sprawdzając, kto śpi jeszcze w tak piękny, letni poranek. Dawid zerwał się na równe nogi. Czas do pracy. Ubrał się szybko i po kilku minutach jechał już swoim służbowym rowerem.

– Dzień dobry, panie Józefie.

Jadący przed nim na rowerze mężczyzna nie usłyszał.

– Panie Króliczak! – krzyknął Dawid. – Dzień dobry!

Rowerzysta odwrócił się i zwolnił. Jechali teraz obok siebie.

– A dzień dobry, dzień dobry. Wcześnie dzisiaj zaczynasz.

– Wczoraj nie dostarczyłem pisma, bo nikogo w domu nie było, a to jakieś ważne pisanie, tyle pieczątek i „do rąk własnych" napisane. Chcę jeszcze przed pracą zdążyć.

Pan Króliczak poprawił na ramieniu swoją wypchaną po brzegi listami i gazetami torbę.

– Ty masz jedno pismo. Zobacz, ile ja mam dzisiaj – wskazał zawartość torby.

– Chyba do wieczora pan nie rozwiezie. Może pomogę?

– Dziękuję, ale nie wolno. Jestem za to odpowiedzialny. Taką mam pracę. Do widzenia chłopcze – skręcił w boczną ulicę i odjechał.

Po wykonaniu zadania, Dawid wstąpił w drodze powrotnej do sklepu w Rynku, do Jakuba Lipkowicza, po pieczywo.

– Shalom Alejchem.

Żyd stojący za ladą ukłonił się nisko kilka razy. Chłopak rozejrzał się po półkach.

– Ładnie pachnie.

– Wszystko świeży, chrupiący towar – padła odpowiedź. – Świeże, jeszcze ciepłe bułeczki – wyszczerzył zęby w szczerym uśmiechu. – Kup. Zrób mi dobry początek.

– To proszę, jak zwykle, dwie bułki.

Żyd odebrał zapłatę i splunął w dłoń.

– Oby Bóg obdarzył cie licznym potomstwem – powiedział, chowając pieniądze do małej kasetki. – Oj! Oj! – uniósł nagle ręce. – Słyszałeś Dawid, co sie to wczoraj stało? Oj! Oj! Tragedia. Wielkie nieszczęście. Córka Kosteleckiego sie otruła. Nie pozwolili jej sie za syna Końki[59] wydać, że niby on groszem nie śmierdzi i z biednej rodziny jest. No i teraz one zamiast wesela, pogrzeb mają. Oj! Oj! Na miłość nic nie poradzisz, nie da sie jej zabronić, co by ona w głowach i w sercu młodym nie mieszała. Tragedia!

Żyd trzymał się obiema rękami za głowę i kiwał rytmicznie w przód i w tył, jak do modłów.

Dawid także chwycił się za głowę.

---

[59] *Końka – nazwisko zmienione.*

– Znałem ją! Ona w wieku mojej siostry. Razem do szkoły chodziły. To Sarcie będzie płakać, jak się dowie. To będzie płakać.

2 września 1937.

Miriam cały czas płacze. Rosną jej ząbki. Sąsiadka poradziła, żeby zawinąć w szmatkę trochę maku i dać jej do ssania. Sara tak zrobiła i Miriam w końcu zasnęła. Siostra ma teraz dużo pracy, ale stara się, jak może. Pomagam jej, ale niech ona nie myśli sobie, że we wszystkim może mi rządzić. To zrób, tamto zrób, to ci wolno, a tego nie. Nie jest moją Mame.

Byłem wczoraj zobaczyć, jak otwierają nową szkołę. Obie młodsze siostry Franka będą tam teraz chodzić. Publiczna Szkoła Powszechna III Stopnia – „Jedynka", tak teraz będzie się nazywała. Ma nosić imię Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Nowym kierownikiem, po panu Kaweckim, został pan Włodzimierz Uzdowski. Szybko ją zbudowali. Tata Franka dostał medal za jej budowę. Jest naprawdę wielka i ma aż piętnaście sal do nauki, a wszystkie pomieszczenia jeszcze farbą pachną. Potrzeba było na jej budowę dużo ludzkiej pracy i dużo pieniędzy.

Było wielu dostojnych gości. Wójt Kazimierz Gil powiedział, że to „zbiorowy zryw", że powstała dzięki pomocy wielu instytucji i osób prywatnych. Tate mówi, że takie zrywy społeczeństwa są dobre, jeśli służą ogólnemu dobru, ale niestety czasem idzie to w złą stronę. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, o co mu chodziło, ale to ciekawe, że ktoś coś powie, da jakieś hasło i na początku popiera go kilka osób, później ci, którym było wszystko jedno, a wkrótce nawet ci, którzy byli przeciwnego zdania.

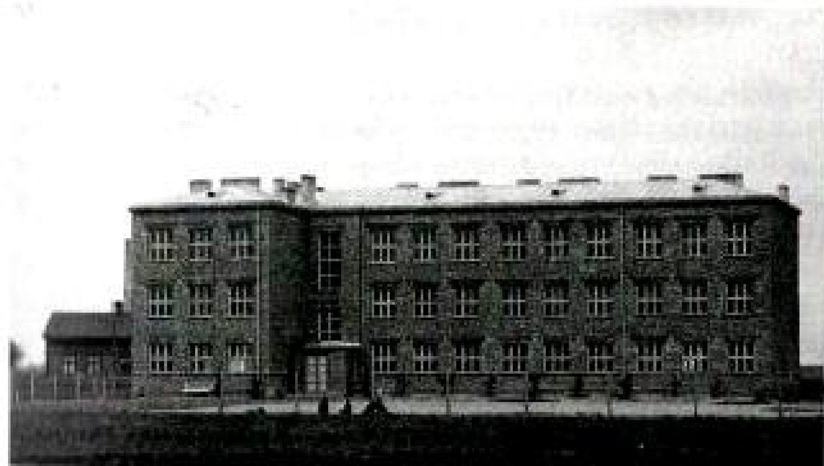
Tate ciągle gdzieś wychodzi, ciągle coś załatwia dla naszej gminy. Do niego też przychodzą, zwłaszcza pan Satt. Siedzą do późna i rozmawiają o różnych sprawach. Najczęściej o polityce. Czasem szeptają, ale słyszę. Mówią z obawą, o tym, jak jest na świecie i co przyszłość przyniesie.



Otwarcie Szkoły nr 1 w Zelowie – 1 września 1937 r. Starosta łaski – Rosicki. Obok po lewej, kierownik szkoły – Włodzimierz Uzdowski.



Szkoła nr 1 w Zelowie – widok od strony targowiska dla zwierząt.



Szkoła nr 1 w Zelowie – 1937 r. Widok od ul. Kilińskiego.

***

październik 1937

Moja mała Siostrzyczka zrobiła dzisiaj pierwsze kroki i mówi na mnie Dada. Ślicznie się do mnie uśmiecha, pokazując swoje cztery ząbki. Mame na pewno by się na to ucieszyła, ale ona biedna już rok w grobie leży. Byliśmy dzisiaj wszyscy odwiedzić ją na kirkucie. Położyliśmy kamyki na jej grobie na znak, że o niej pamiętamy. Macewa już dawno gotowa. Tate kazał wyryć na niej znak owcy – symbol imienia Rachela oznaczającego pokorność, opiekuńczość i troskę, i drugi – złamaną na pół świecę.

Tate powiedział, że bez kobiety mężczyzna jest tylko półczłowiekiem.

***

U Rajcherta

Zbliżały się chłody. Praca w cegielniach powoli się kończyła. Uformowane z gliny cegły czekały w suszarniach do przyszłego roku. Tegoroczna wypalona, a niesprzedana cegła, poukładana w stosy, leżała pod wiatami. Sezonowi robotnicy stracili pracę i trzeba było szukać jej gdzieś indziej.

– No, wchodź – Mateusz popchnął Karola w kierunku wejścia do dyżurki, przed fabryką Rajcherta w Herbertowie.

– Panowie do kogo? – spytała kobieta, która zastąpiła im drogę.

– My, roboty szukamy.

– Idźcie tu na prawo i zapytajcie, ale pewnie nic z tego, bo roboty nijakiej nie ma. Był czas, że była i ludzi było potrzeba, ale teraz na zimę, to nie ma. Ludzie przychodzą i pytają, ale z kwitkiem odchodzą. No, ale spytajcie, spytajcie. Tędy – wskazała ręką kierunek. – A na fabrykę nie wolno – dodała.

Młodzi mężczyźni weszli do biura, kłaniając się już od progu.

– My w sprawie pracy. Chcielibyśmy z właścicielem rozmawiać.

– Musicie poczekać – starszy mężczyzna wskazał im krzesła pod ścianą – właściciel jest na zakładzie.

Wkrótce usłyszeli podniesione głosy zbliżających się ludzi.

– Trzeba koniecznie coś zrobić, panie Rajchert.

– A za co ja wam płacę panie Koszade? Trzech was jest kierowników. Macie się tym zająć i spokój ma być. Ja mam wszystkiego doglądać? Produkcja musi iść. Najlepszy czas teraz. Zbyt jest.

– Ano, najlepszy – odpowiedział kierownik. – Toż dlatego chcą podwyżek. Dużo roboty, to najlepszy czas do przerwania pracy i protestów.

– Ich strajków mam już powyżej uszu – odpowiedział zdenerwowany fabrykant, a zmieniając temat, dodał: – Jak tylko przywiozą z Breslau[60] nowe barwniki do pościelowego, to je wypróbujcie.

Mężczyźni przeszli obok chłopców, jakby ich nie widzieli i weszli do gabinetu, skąd później dobiegały odgłosy dalszej części burzliwej rozmowy. W końcu kierownik wyszedł, a po chwili także właściciel.

– Panie Staszku. Proszę to sprawdzić – Rajchert podał pracownikowi kartkę zapisanego papieru.

– Ci dwaj do pana – urzędnik wskazał oczekujących chłopców.

– Słucham.

– Szukamy pracy – nieśmiało wydusił z siebie Mateusz.

– W jakim charakterze? No, co umiecie?

– My wszystko możemy robić – odpowiedział Karol.

– Na razie pracy nie ma. Przyjdźcie na wiosnę. Będę powiększał fabrykę, będą nowe krosna, będzie robota.

Chłopcy wyszli ze spuszczonymi głowami. W tej chwili skończyła się poranna zmiana i tłum ludzi zaczął opuszczać fabrykę.

– Cześć chłopaki! – usłyszeli za sobą.

Odwrócili się i zobaczyli znajomego, z którym kiedyś pracowali w cegielni.

– Cześć Józek. Pracujesz?

– Ano, pracuję. Już ponad pół roku i wcale sobie nie brzydzę. Ciężko jest, ale przywykłem. Na farbiarni robię.

– Guminiak! – ktoś krzyknął. – Jeszcze karta do podbicia.

– Tak, tak. Wiem. Idę – Józek odwrócił się z zamiarem odejścia.

– Ale, ale! Nie spytałem, co wy tu robicie?

– Szukamy pracy, ale Rajchert powiedział, że dopiero na wiosnę będzie.

– Źle się do tego zabraliście. Powiem wam, jak takie rzeczy się załatwia – nachylił się i szeptem wyłożył im całą sprawę.

---

[60] *Breslau – w tłum. z niem. – Wrocław.*

– A, co? – dodał już głośno, widząc zdziwienie, a zaraz potem uśmiech na twarzach kolegów. – A, co? Trzeba mieć na czym czapkę nosić.

W niedzielę wieczorem dwaj bracia ubrali się odświętnie i udali się na ulicę Sienkiewicza za czeskim kościołem. Stanęli pod drzewem przed wejściem do piętrowego budynku. W tym momencie nadjechała dorożka.

– Prrr! Stoj! – krzyknął woźnica.

Mężczyzna, który przyjechał, zgrabnie zeskoczył na ziemię. Po chwili usłyszeli znajomy głos.

– Masz tu złotówkę – Żyd wyciągnął rękę po zapłatę. – Przyjedź, jak zawsze, za dwie godziny.

Rajchert wszedł do środka, a za nim Karol i Mateusz. W jednym z pomieszczeń zebrało się kilkanaście osób. W pierwszym rzędzie usiadł znajomy fabrykant. Pozostałe siedzące miejsca były zajęte. Stanęli więc z tyłu pod ścianą. Wysoki, młody mężczyzna stanął naprzeciw pozostałych.

– Witam wszystkich przybyłych – zaczął. – Nasze zgromadzenie Badaczy Pisma Świętego istnieje od 1924 roku i z roku na rok powiększa się grono osób chcących zgłębić tajemnice tej świętej księgi. Cieszę się, że tylu wiernych zebrało się dzisiaj.

Spojrzał w kierunku chłopców.

– Widzę też nowe twarze. Zacznijmy zatem od rozważania fragmentu Biblii, który przygotowałem na dzisiaj.

Pod koniec spotkania zaczęli śpiewać psalmy. Chłopcy szeroko otwierali usta nie wydając głosu, ale udając doskonałą znajomość tekstu, a poznawszy refren śpiewali go najgłośniej ze wszystkich zebranych tam osób. Po skończonej mszy podszedł do nich Rajchert.

– Ja was znam. Byliście u mnie za pracą. Przyjdźcie do mnie jutro. Może coś się dla was znajdzie…

Codzienne troski

Siedziba Gminy Żydowskiej znajdowała się przy ulicy Kilińskiego, naprzeciw fabryki Lewiego. Zacni przedstawiciele pochodzenia semickiego spotykali się tam, aby debatować nad sprawami zelowskiego kahału. Kwestie religijne rozstrzygał rabin, natomiast sprawami administracyjnymi zajmowały się odpowiednio do tego powołane komisje. Najważniejsze funkcje, w tym reprezentacyjne, piastowali seniorzy. Wspierali ich w działaniach ławnicy. Wieczorami można było porozmawiać w gronie przyjaciół o sprawach codziennych: o tym, co wydarzyło się na świecie, w Polsce, na własnym podwórku.

– Czytałeś Salomon gazetę? – powiedział Symcha Satt, podając koledze dziennik.

– Masz na myśli coś konkretnego?

– Ekspose ministra Becka w Sejmie. Pierwsza strona.

Salomon zaczął czytać, a Satt kontynuował wypowiedź.

– Mówił o sojuszach z Francją i Rumunią, że niby się nic nie zmieniło, o Układach o Nieagresji z ZSRR i Rzeszą Niemiecką, a o Gdańsku – ani słowa.

– Nu, tak – Salomon odłożył gazetę. – To chyba lepiej, że nadal mamy obiecaną pomoc w potrzebie.

– Dobrze to ująłeś. Obiecaną. Nie byłbym taki pewny tych obietnic. Obym się mylił, ale po prawdzie to lepiej, żeby w ogóle nie była potrzebna. A prawdziwych przyjaciół poznaje się, kiedy bieda z gardła ostatni kęs wyrywa. A, co ty Salomon na Bolszewika sądzisz?

– Mnie Symcha daleko do niego i niech tak zostanie, ale przecie i u nas nie brak takich, co do nich się garną. I mówię to o naszej żydowskiej młodzieży, choć z innych narodowości też ich nie brakuje. Nu, ale każdy ma prawo do własnego zdania, choćby nie było ono takie mądre.

Po chwili milczenia dodał:
– Byleby przez to jego zdanie nikt łez nie wylewał.
– Masz rację, drogi Salomonie, jak zwykle masz rację. Jakieś zasady i normy trzeba przecież przyjąć. Jakby to było, gdyby każdy robił, co chce?
W tym momencie do pokoju wszedł zastępca rabina, Uberbaum.
– Musimy usiąść i jeden problem rozwiązać – powiedział zmartwiony.
Spojrzeli na niego.
– Co się wydarzyło drogi rabinie? – spytał Satt.
– Duży kłopot, duży. Braknie funduszy na dokończenie synagogi.
– Skąd już teraz o tym wiadomo? – spytał Salomon i podsunął jedno z wolnych krzeseł, wskazując, aby mężczyzna siadł razem z nimi przy stole.
– No co, ja rachować nie umiem? Na mury tylko starczy i na dach. A gdzie reszta? Wykończenie świątyni największe koszta będzie robiło.
– Rabinie – uśmiechnął się Satt – będziemy o tym myśleć, kiedy przyjdzie pora. Za rok, może więcej. Najpierw niech mury staną. A ty, co na to sądzisz? – zwrócił się do Salomona.
– Myślę, że za wcześnie na drugą zbiórkę. Biedny dał tyle, co go było stać i bogaty też, choć dziesięciokroć tyle, co ubogi. Przyjdzie czas, to każdy wyłoży ile potrzeba, bo to nasza wspólna sprawa. Nie martwcie się rabinie, nasza świątynia będzie najładniejsza w całej okolicy, a nawet w powiecie. Co ja mówię! Pół Polski będzie nam się kłaniać na taką świątynię.

Jesodej Hatora[61]

W lutym 1938 roku odbyło się w siedzibie żydowskiej gminy ważne spotkanie, które miało wpłynąć na dalszy rozwój ludności wyznania mojżeszowego na terenie osady Zelów. Na wstępie głos zabrał przewodniczący zarządu.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj w szerszym gronie, gdyż mamy do omówienia ważne kwestie dotyczące rozwoju naszego szkolnictwa na terenie Zelowa. Osoby, które dotychczas działały w tym obszarze są wam znane. Wiecie też, że nasze dzieci uczęszczają do szkół powszechnych razem z innymi dziećmi, i dobrze, bo wykształcenie, to ważna rzecz. Jednakże sprawy dotyczące naszej religii i tradycji są tam z reguły pomijane. Tym musimy zająć się sami. Mamy co prawda Powszechną Szkołę Prywatną, prowadzoną przez związek Szlomej Emunej Isroel. Uczy się tam blisko 60 dzieci. Jednak warunki nie są tam dobre i w związku z tym ciągle są problemy z Inspektoratem Szkolnym. Co się zaś tyczy nauki języka hebrajskiego, to lekcje prowadzone są w wielu prywatnych domach i policja traktuje te kursa jako nielegalne, śląc pisma w tej sprawie do Starostwa. Jest dzisiaj z nami prezes zarządu szkoły, Moszek Liberman i członek zarządu, pan Kohn.
Następnie głos zabrał fabrykant Liberman, gorący wyznawca wiary swoich przodków, człowiek ściśle przestrzegający tradycji i kultury żydowskiej, społecznik i człowiek zamożny.
– Chciałbym dodać, że od dawna borykamy się z tymi problemami, które przedstawił panom mój przedmówca. Od dawna mamy też pomysł ich rozwiązania. Częściowo został on wprowadzony w życie. Organizacja Aqudas Isroel[62], której jestem prezesem, podjęła jakiś czas temu starania utworzenia w Zelowie,

---

[61] *Jesodej Hatora – (Zasady Biblii) Stowarzyszenie Żydowskiej Szkoły Religijnej.*
[62] *Aqudas Isroel – ugrupowanie polityczne o charakterze religijnym.*

w budynku przy ulicy Żeromskiego, Prywatnej Ośmioletniej Sześcioklasowej Męskiej Powszechnej Szkoły Religijnej „Jesodej Hatora". O tym, jak ma wyglądać nauka w tej szkole, opowie pokrótce obecny kierownik i nauczyciel matematyki w szkole na ulicy Św. Anny, pan Janusz Marek.

Siedzący obok Libermana, młody, przystojny mężczyzna wstał i zabrał głos.

– Nazywam się Janusz Józef Marek. Mieszkam w Zelowie, przy ulicy Marszałka Śmigłego-Rydza. Nie jestem wyznania mojżeszowego. Jestem luteraninem, ale nie przeszkadza mi to w wypełnianiu moich obowiązków w sposób należyty i zgodnie z wytycznymi właściciela szkoły, jak i odpowiednich przepisów.

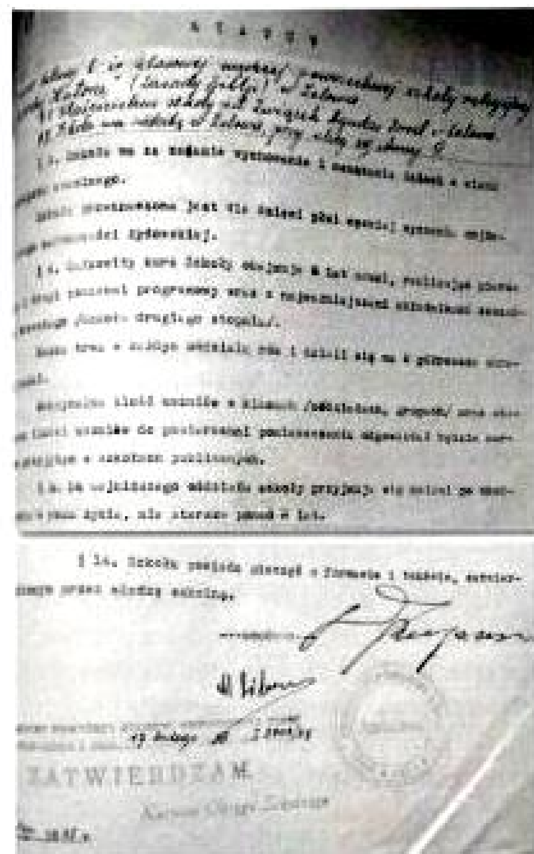


Janusz Marek – ostatni kierownik zelowskiego chederu.

Chcę dodać, że opracowany przez nas Statut Szkoły został w dniu 17 lutego tego roku zatwierdzony przez Kuratora Okręgu Szkolnego. Zawiera on informacje niezbędne do funkcjonowania placówki, a za najważniejsze uważam to, że obowiązują w tej szkole dwa języki nauczania: dla przedmiotów ogólnokształcących –

język polski, a dla przedmiotów religijno judaistycznych – jidysz. Liczba godzin dla tych ostatnich to 22 tygodniowo.

Kierownik długo objaśniał zasady funkcjonowania szkoły i odpowiadał na pytania. Podczas obrad postanowiono też o rozbudowie nowej szkoły w przyszłości, tak, aby zapewnić dogodne warunki nauczania dla ciągle zwiększającej się liczebnie ludności żydowskiej.



ZATWIERDZAM

Statut chederu (fragmenty).

Wielkanoc

Wielkanoc 1938 roku szykowała się zimna i dżdżysta. Zasnute chmurami niebo nie przepuszczało promieni kwietniowego słońca. Jednak wszyscy katolicy przygotowywali się do jej obchodów zgodnie z religijną tradycją.

– Co tam słychać, pani Wróblewska? Świąteczne porządki? – spytała trzepiącą dywan sąsiadkę, pani Teresa.

– Ano, pani Szkudlarkowa. Ano. Jak co rok trza kąty powymiatać. Ściany też kazałam synowi pobielić. Trochę żałuję, bo pogoda pod psem i schnąć nie chce, ale nie wyobrażam sobie, żeby na święta mieszkania nie odświeżyć.

– Bo się też i nie godzi – odpowiedziała mama Franka. – Jakby tu święta wielkanocne pasowały do brudnego mieszkania.

– Ma pani rację. Żydzi sprzątają przed Paschą, a my mamy święcone w nieporządku spożywać?

– Tak, tak, święta za pasem – dodała pani Teresa. – I posprzątać trzeba i odzienie trzeba naprawić i z duszą także to samo zrobić potrzeba, by w kościele na mszy godnie wystąpić.

Wtem na podwórzu rozległo się głośne wołanie:

„Hiacynty tanie na stoły wielkanocne! Hiaaacyntyyyy! Booorówkiii! Kołduny[63], stoliczki do święconek dziecięcych, koszyyyyczkiii!".

Artykuły świąteczne docierały bezpośrednio na podwórka. Sprytny sprzedawca wiedział, że gospodynie nie mają kiedy oderwać się od sprzątania, więc chętnie zapłacą nawet o dwa grosze więcej. Przedświąteczne porządki ogarnęły niemal wszystkie domostwa. Podwórka wypełnione były gwarem sąsiadek plotkujących przy trzepaniu dywanów i wietrzących na drągach pierzyny.

[63] *Kołduny – pierogi z farszem.*

Nawet wśród najuboższych widać było narastającą wraz z nadchodzącą wiosną i dniem zmartwychwstania, radosną atmosferę. Nawet oni nie żałowali kilku ciężko zarobionych groszy na wapno, mydło i szczotkę ryżową. Wszędzie roznosił się zapach pieczonego ciasta i dym z podwórkowych pieców – szabaśników. Wystawy sklepowe pełne były kolorowych malowanek, czekoladowych jaj i żółciutkich kurczątek. Świąteczna melodia rozbrzmiewała na ustach wszystkich warstw społecznych i wszystkich światopoglądów.

***

17 kwietnia 1938 roku w Parafii pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej skończyła się Rezurekcja. Franek wyszedł z kościoła razem z innymi ministrantami przez zakrystię.

– No, do roboty chłopaki. Raz w roku możemy sobie postrzelać. Pamiętacie, jak było w ubiegłym roku?

– Głośno było – odpowiedział najmłodszy z nich, Ignaś. – Tak głośno, że trochę się bałem, ale teraz jestem dużo starszy.

– Nie ma sie czego bać. Tylko łapy z daleka trzymać – uśmiechnął się Franek.

Wziął metalową puszkę po kawie zbożowej. Naładował do niej karbidu[64], skropił wodą i zatkał pudełko wieczkiem. Położył ją na ziemi. Wszyscy zatkali uszy i czekali, patrząc, jak przyłożył zapaloną zapałkę z drugiej strony do małego otworu zrobionego po środku. Wieczko z wielkim hukiem wyleciało w powietrze.

– Ale grzmotnęło, aż się ziemia zatrzęsła – powiedział z podziwem Stasiek.

– Noo! – dodał mały Ignaś. – Jeszcze raz. Jeszcze raz – zaczął podskakiwać i klaskać w dłonie.

[64] *Karbid – bezbarwna substancja krystaliczna, związek nieorganiczny.*

Zabawę zakończył organista Wilczyński, stwierdzając, że: „już chyba wszyscy wkoło ogłuchli i jak tak dalej pójdzie, to ludzie nie usłyszą słów księdza odprawiającego mszę".

Po porannej kanonadzie i świątecznym śniadaniu Franek spotkał się z Zenkiem i Dawidem.

– Słyszeliście dzisiaj rano? – krzyczał już z daleka.

– A co, Franuś? A co? – koledzy udali zdziwionych.

– Nie udawajcie głupich.

– No coś tam było słychać. Jakieś strzelanie, czy co? – powiedział Dawid.

– Coś puknęło – dodał Zenek.

Wiedział, że zdenerwuje tym kolegę, który lubił kiedy chwalono go za jego czyny.

– Coś puknęło? – powiedział zirytowany Franek. – Pieprzło, jak cholera! Jak nigdy dotąd.

– Te, ministrant – wtrącił Dawid.

– A, co? Przecież to nie było pierdnięcie.

– Niech ci będzie. Żartujemy przecież.

Franek machnął ręką.

– Żarty was sie trzymają. Mówie wam. Ziemia sie zatrzęsła.

– Powiedz lepiej, czy słuchałeś radia w piątek wieczorem?

– Nie słuchałem. Ojciec słuchawki założył, bo było słuchowisko – „Historia o Męce Pana Jezusa Krysta".

Zenek obruszył się.

– Wcześniej mówili o przygotowaniach Polaków do meczu z Brazylią. Myślisz, że mamy szansę?

– Pewnie, że mamy. Ernest Wilimowski na pewno strzeli gola.

– Obóz przygotowawczy naszych piłkarzy ma być na Śląsku. Jeszcze nie wiedzą, gdzie dokładnie, ale na Śląsku – dodał Zenek.

– Szkoda, że nie u nas – westchnął Franek.

– Jasne – żachnął się Zenek. – Może jeszcze ciebie na treningi zaproszą, żebyś ich trenował. Oni nawet nie słyszeli o takim Zelowie.

– Przecież nasza drużyna też dobrze gra – wtrącił Dawid.

– Dobrze, ale to nie ta liga. Nasi na mecze dorożkami, albo wozami chłopskimi jeżdżą.

– Nie zawsze. Czasem autobusem Czajkowskiego – wtrącił Franek.

– No, tak. Jak ostatni raz grali ze Strzelcem w Zduńskiej Woli, albo w Pabianicach, ale... kiedy grali z Żydowskim Klubem Sportowym w Bełchatowie – to pojechali wozami – przekonywał Zenek.

– A u nas mało ludzi na mecze chodzi? Tata mówił, że ostatnio to z tysiąc ludu było.

– No, bo bilety po 20 groszy.

– To chyba dobrze, nie? – odpowiedział Franek. – Bo by nie każdego było stać, a tak klub się rozwija. Od stycznia to znowu Zelowski Klub Sportowy. No i na tym boisku, koło fabryki Słamy gra się im na pewno lepiej, niż na starym, pod „Czarnym Lasem".

– Musimy się kiedyś wybrać. Zobaczyć Czechów w akcji – odparł dumnie Zenek.

– No, ty! Nie bądź taki. Nie tylko Czesi tam grają.

– Nas jest najwięcej.

– No, to pójdziemy – wtrącił Dawid, przerywając spór. – Trzeba wesprzeć zelowiaków.



Druga drużyna Zelowskiego Klubu Sportowego – koniec lat 30. XX w.



Zelowski Klub Sportowy – koniec lat 30. XX w.

Goering bada...

Przez uchylone okno zakładu krawieckiego, zaglądało ciepłe wiosenne słońce. Salomon siedział pochylony przy maszynie i szył, nucąc wesołe, żydowskie melodie. Nagle do izby wpadł sąsiad – kupiec, Josek Kohn.

– Wiesz, Salomon, co piszą? – wzburzony mężczyzna położył gazetę na maszynie.

– Goering bada Żydowski stan posiadania – Salomon przeczytał na głos tytuł artykułu i czytał dalej.

– Wszyscy Żydzi, obywatele Rzeszy, obowiązani są do zameldowania odpowiednim władzom swego stanu posiadania zarówno

w Rzeszy, jak i za granicą. Zwolnieni są tylko ci, których majątek nie przekracza 5000 marek.

– Jest coraz gorzej – powiedział Kohn. – Do czego to doszło? Niedługo to ten Hitler zabroni nam na ulicę wychodzić. Dlaczego oni mu na to pozwalają?

Salomon spojrzał na zdenerwowanego kolegę.

– Jeden głupiec czyni wielu głupców. Obawiam się, że za daleko to zaszło. Słyszałeś, jakie tłumy za nim stoją. Sami fanatycy.

Josek narzekał dalej.

– Aj! Aj! Co z tego będzie? Co będzie? Przyjdzie nam z torbami pójść.

26 czerwca 1938. Niedziela.

Jak szybko mija czas. Już koniec czerwca. Już pięć lat mieszkam w Zelowie. Tyle się wydarzyło. Zmarła moja Mame. Miriam się urodziła. Zmieniliśmy się. Za rok będziemy dorośli. Jaka przyszłość przed nami? Co nas czeka za rok, dwa, dziesięć lat? Czy nadal wszyscy będziemy przyjaciółmi, czy może rozjedziemy się po świecie? Franek chce zwiedzać obce, dalekie kraje. Mam nadzieję, że to mu się uda.

Dzisiaj obchodziliśmy Święto Morza. W każdym domu, jak w każde święto, wywieszono biało-czerwone flagi. „Dni Morza" świętuje się w ostatnią niedzielę czerwca. Właściwie nie wiem, dlaczego w Zelowie? Tak daleko od morza. Ale bardzo lubię to święto: składanie kwiatów pod pomnikiem, przemówienia i występy, i orkiestry, i loterię. Chciałbym kiedyś zobaczyć morze. Spróbować, czy woda rzeczywiście jest słona, poczuć powiew wiatru, usłyszeć ryk fal w czasie sztormu, krzyk mew... i zobaczyć statki, wielkie żaglowce, jak „Dar Pomorza". Ale na naszych „Patykach" też jest pięknie.



Obchody „Dni Morza" w Zelowie.

Urodziny Jana Baczmagi

W sobotę rodzina Szkudlarków wybrała się z wizytą do Bujen. Najstarszy z rodu Baczmagów – głowa rodziny – Jan Baczmaga obchodził 70. urodziny. Pogoda dopisywała, więc stoły rozstawiono na podwórzu pod leszczynami. Licznie zgromadzeni odśpiewali jubilatowi 100 lat.

– Niech żyje! – wołali dorośli.

– Niech żyje! – powtarzała za nimi gromadka dzieci, a Burek wesoło podszczekiwał, ciesząc się razem z innymi.

Pan Jan siedział na honorowym miejscu i podkręcał wąsa.

– Zdrowie tatusia – zaproponował najstarszy syn – Bolesław, wznosząc kieliszek samogonu.

– I zdrowia i szczęścia i błogosławieństwa przez serce Maryi – rozbrzmiały ponownie śpiewy, które ucichły, kiedy jubilat wstał i rozpoczął mowę:

– Jestem szczęśliwy, że tyle was tu się dzisiaj… – głos załamał mu się nieco, a w oku zakręciła się łza.

– Rodzina – zaczął od nowa. – Rodzina jest najważniejsza. Rodzina, zdrowie i to żebyśmy się wszyscy nawzajem kochali. Jak będziemy się w kupie trzymali i wzajem wspierali w kłopotach, to Pan Bóg będzie z nami. I niczego nam więcej nie trza. Ziemia obrodziła tego roku, sad pełen owocu, las pełen grzybów, a w naszym stawie i w rzece rybki, a na polu dorodne kłosy zerznięte w mendlach stoją i czekają na młóckę. Jutro zaczynamy. Czas wziąć cepy w ręce i wymłócić zboże, aby zmielić je potem na mąkę, a z mąki chleba upiec, któren od Pana Boga pochodzi i szanować go trza, jak największą świętość. To tyle chciałem powiedzieć.

Józefa, siostra Bolesława i Teresy, nachyliła się do siedzącego obok niej kuzyna Józka i szepnęła mu do ucha.

– Pamiętasz, jak dostałeś od ojca za to, żeś z chleba kulki robił i rzucał?

– Pamiętam. Do tej pory mnie tyłek swędzi, ale na całe życie zapamiętałem, że chleb trza szanować. A gdzie twoje chłopaki?

– U sąsiada we żniwach pomagają. Zawsze to parę groszy zarobią.

Tymczasem pani Teresa podeszła do ojca ucałowała go w głowę i dodała:

– Święte słowa tatuś powiedział, a Franek podszedł do wujka Bolka i poprosił.

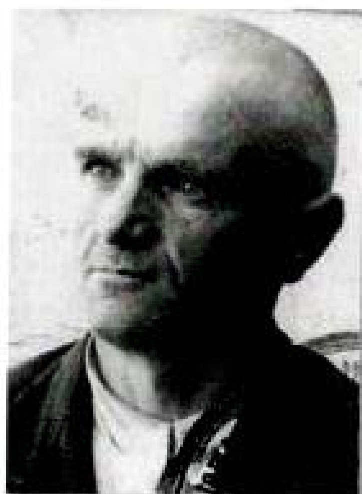
– Niech wujo opowie, jak kacapa bił pod Kijowem.

– Już tyle razy opowiadałem – pan Bolesław machnął ręką.

– Jeszcze raz! Jeszcze raz! Prosimy!

– No dobrze. Było to we wojnę z bolszewikami… – zaczął opowieść.

Wszyscy nadstawili uszu, chociaż niemal na pamięć znali jego wojenne przygody.



Bolesław Baczmaga

Później wszyscy kolejno opowiadali różne historie i śmiali się, aż weszło na sprawy dotyczące tylko dorosłych, więc dzieci pod wodzą najstarszych z nich, Franka i Kasi, poszły bawić się za stodołę.

– Patrzcie, chyba coś się stało. Sąsiadka gdzieś leci.

Franek spojrzał w kierunku wskazanym przez kuzynkę Marysię i uśmiechnął się.

– Kieckę trzyma w garści i szybko nogami przebiera. Wygląda na to, że ją pogoniło. Żeby choć zdążyła – śmiał się – no, bo te majty z klapą to nie łatwo...

– Przestań! – Kaśka zdzieliła go ręką po głowie. – Coś się stało! Chodźmy zobaczyć.

Weszli na podwórko do sąsiadów i podeszli do chałupy krytej słomą. Zajrzeli przez okno do izby. Po środku pomieszczenia, na polepie, stało łóżko. Na nim leżała starsza kobieta.

– To pani Rybakowa – powiedziała Marysia. – Od kilku dni tak leży, tak ją zmogło.

Franek położył palec na ustach, dając znak, żeby ucichła, więc dodała szeptem:

– Babcię Antosię wezwali. Będzie uroki odczyniać.

Przyłożyli mocniej nosy do szyby.

– Ja też chcę zobaczyć – mała Krysia nie mogła sięgnąć parapetu, więc Franek wziął ją na ręce.

Przy chorej stała rodzina i bosa kobieta o długich, siwych włosach opadających na ramiona. Ubrana była w wełnianą spódnicę w kratę, zapaskę i białą koszulę. Na plecach miała kolorową chustę w kwiaty. W powietrzu roznosił się dym i zapach ze spalonych na metalowej tacy, ziół. Światło wielu zapalonych świec rzucało na ściany i twarze, obecnych tam ludzi, długie cienie. Wszyscy czekali z zapartym tchem, co będzie dalej. Antosia przeżegnała się i półgłosem zaczęła odmawiać jakąś modlitwę. Po chwili wzięła leżącą na krześle czapkę. Wywróciła ją na drugą stronę i podeszła do chorej. Przetarła czapką jej czoło, twarz i włosy. Modląc się, splunęła kilkakrotnie przez palce na podłogę. Powtórzyła trzykrotnie wszystkie czynności, po czym uczyniła znak krzyża na czole chorej. Później sama się przeżegnała i powiedziała już głośno:

– Co Bóg da, tak będzie.

Po czym pożegnała się i wyszła z izby, zostawiając po sobie nadzieję na wyzdrowienie.

Odpust

W niedzielę 16 sierpnia w Kościele Parafialnym pw. św. Wawrzyńca w Łobudzicach zebrały się tłumy wiernych, chcących dostąpić łask odpuszczenia grzechów. Uroczystą mszę odpustową sprawował proboszcz, ksiądz Gustaw Witkowski. Różnobarwna procesja przeszła wokół kościoła. Kobiety ubrane były w tradycyjne stroje: kolorowe bluzki, zapaski, wełniane chusty w kratę, wysokie sznurowane trzewiki, a na głowach zawiązane

miały kolorowe chusty. Mężczyźni po gospodarsku: w wysokich butach, czapkach z daszkami, czarnych wełnianych spodniach, płóciennych koszulach i w kamizelkach. Nie brakowało też takich ubranych w garnitury i dzieci w odświętnych ubraniach. Chłopcy nosili spodnie na kant i białe koszule. Dziewczynki kolorowe sukienki i czerwone lub białe buciki. W starannie zaplecionych włosach powiewały im różnobarwne wstążki.

Po mszy, przy biciu dzwonów, wszyscy udali się na stragany. Zewsząd dobiegał radosny zgiełk: gwar ludzkiej mowy, dźwięki piszczałek, odgłosy wystrzałów z kapiszonów. Gliniane koguciki, drewniane wiatraczki i motylki. Powiązane w korale obwarzanki obecne były na każdym stole. Dzieci, które z przejęciem oglądały każdą błyskotkę przepychały się między dorosłymi, aby zobaczyć i dotknąć wszystkich tych cudów, które wzbudzały w nich zachwyt i pożądanie. Każdy chciał spróbować szczęścia na loterii. „ Czarne przegrywa, białe wygrywa". Wzrok podążał za wskaźnikiem, ramieniem zakończonym piórkiem, kręcącym się po okręgu. Każdy powtarzał w myślach: „Stój! Stój! Na białym". Można było wygrać glinianego, pięknie pokolorowanego kota, psa, czy koguta, albo przynajmniej, słodkiego batonika. Starsi próbowali szczęścia na strzelnicy. Strzelali z wiatrówek do drewnianych łodyżek kwiatów wykonanych z gąbki. Cudowną zabawę miały dzieci na stojącej niedaleko karuzeli, która poruszała się za sprawą siły mięśni dwóch obsługujących ją mężczyzn.

Cała rodzina Baczmagów i Szkudlarków rozeszła się wśród straganów. Franek z siostrami i kuzynostwem poszli po lody. „Twardziele" sprzedawane były z drewnianych skrzynek.

– Dla mnie, dla mnie też – wołała Krysia, wyrywając się siostrze.

– Ty dostaniesz watę cukrową i piłeczkę na gumce – powiedziała starsza od niej Marysia. – Mama tak kazała, bo niedawno byłaś chora, ale nie martw się obiecała też, że kupi nam cukierków i różowe torebki na pasku.

– Ja ide na „łańcuchową" – powiedział Franek, pokazując w kierunku dużej karuzeli. – To bedzie jazda. Pilnujcie dzieci, dziewczyny. Zaraz pójdziemy do domu na obiad, a ja jeszcze wieczorem przyjde na zabawe.

– Zobaczymy, czy cię ojciec puści – uśmiechnęła się Kaśka. Na pewno znowu będą się bili, jak rok temu. Tu zawsze mają jakieś porachunki między sobą. Łobudzice przeciw tym z Grabostowa. Nie pamiętasz, jakie wujo Wawrzek miał oko spuchnięte?

– Mam już siedemnaście lat – oburzył się Franek. – Zobaczysz i tak przyjde.

Choroba Miriam

Tej nocy Sara nie spała. Siedziała przy swojej małej siostrze, która płakała i nie mogła zasnąć. Nosiła ją na rękach, kołysała, ale nic nie pomagało. Rano zawołała ojca:

– Tate! Miriam ma wysoką gorączkę. Nic, a nic jej nie przechodzi. Tate, do doktora trzeba.

Salomon spojrzał na córeczkę. Dotknął jej czoła.

– Ubieraj ją. Idziemy.

W poczekalni u doktora Łuczyńskiego nie było nikogo, ale za drzwiami gabinetu słychać było rozmowę. – Musimy zaczekać. Chyba ktoś jest – powiedział półgłosem Salomon.

– A co tam, panie Maksymowicz?

– Ano, nie bardzo doktorze. Tu boli – mężczyzna dotknął ręką klatki piersiowej. – Najwięcej, jak kaszlę.

Lekarz zabrał się do badania.

– Dawnośmy się nie widzieli – mówił dalej pacjent. – Co u doktora? Dużo roboty pewnie?

– Pracy mam dużo, ale najwięcej trzeba naprawiać po różnego rodzaju pożal się Boże znachorach i babkach, co po wsiach leczą. Nadają ludziom różnych świństw, a ja później muszę się martwić, jak leczyć pacjenta, co przez ich zabiegi jedną nogą w grobie stoi.

– Nie dziwota. W wielu miejscach w zabobony więcej wierzą niż, doktorom, no i pieniędzy nie mają.

– A czy to ja dużo biorę? – zirytował się doktor. Nieraz się za Bóg zapłać pomogło.

– Ano dla tych, co do garnka nie mają co włożyć… po resztą, to ludzie też nie chcą, bo jak to bez zapłaty, nie godzi się. Każdy swój honor ma i wie, że nic za darmo na tym świecie. No i doktor, to ma tyle ludzi, co mogą potrzebować, żeby im ulżyć cierpieniach. Przecież się doktor nie rozdwoi.

– Myślą mądre głowy, co z tym fantem zrobić, żeby młodych lekarzy ściągnąć na wieś. Wymyśli, że można by przymus taki wprowadzić, żeby zaraz po szkole, na dwa lata, na prowincję ich dawać. Może to i dobry pomysł, bo doświadczenia by nabrali i ludziom pomogli… No, ale my tu sobie gadamy, a pan ledwie siedzi.

– To, co mi doktor przepisze?

– Dla wójta Bujen zestaw specjalny – uśmiechnął się doktor – pierzyna i cięte bańki. Ot, co! Tutaj jest recepta do wykupienia.

– Oby tylko pomogło.

– Pomoże, pomoże, tylko w cieple wyleżeć.

– Bóg zapłać doktorowi. Bóg zapłać.

Po wyjściu Maksymowicza lekarz wyszedł z gabinetu. Spojrzał na oczekujących.

– Proszę. Można wchodzić – zaprosił do środka.

– Dzień dobry panu doktorowi – zaczął Salomon i kłaniał się nisko. – Mała ciągle choruje. A teraz, to już będzie ze dwa tygodnie, jak ona popłakuje. A dzisiaj w nocy, to taki gorąc dostała…

– Dzień dobry – odpowiedział Łuczyński. – Proszę ją rozebrać. Zaraz będziemy wiedzieli, co jej dolega – uśmiechnął się do Miriam.

Po dokładnym zbadaniu dziecka doktor zmarszczył swoje krzaczaste brwi i spojrzał z wyrzutem na Salomona.

– Za długo czekacie! – zaczął ostro. – Wcześniej trzeba przychodzić! Jest poważnie chora. To zapalenie pęcherza i nerek.

Weźmiecie słomy owsianej i kąpać w niej małą dwa razy na dzień. Zaraz napiszę receptę do wykupienia i jak leki podawać. Te robione pewnie będą dopiero na jutro, ale powiedzcie w aptece Radziszewskiemu, że prosiłem, jak się da, to na dzisiaj jeszcze. W cieple trzymać. Nogi octem smarować – na gorączkę. Jakby za dwa dni nie było poprawy, to trzeba będzie do szpitala, do Łasku.

Przez dwa dni i dwie noce siedzieli na zmianę przy Miriam. A kiedy mała płakała, Sara śpiewała jej kołysankę:

„Numi, numi, numi kołysz się kołysko, śpij kochanie, śpij. Numi, numi, numi ciemna noc już blisko, już nadchodzą sny. Nim szare życia dni na twoje ścieżki spłyną, nim spadną deszczu łzy, beztrosko śpij dziecino. Zabierz ciepły sen na trudny szlak w nieznane. I światło dnia i cień, lecz teraz śpij kochanie.

Numi, numi, numi…”

Trzeciego dnia dziewczynka poczuła się lepiej. Zaczęła jeść. Po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się i widać było, że zdrowieje, bo choć była jeszcze bardzo słaba, to uśmiechała się i nie chciała już leżeć. Salomon założył tałes i tefilin i wzniósł ręce ku niebu.

– Bądź błogosławiony o Panie Boże nasz za twą dobroć i za to dziecko, które nam wróciłeś, bo ono jest miłością życia naszego.

Niepokojące wieści

W sobotni wieczór Zenek spotkał się z przyjaciółmi przed kinem.

– Dawno nie oglądałem filmu. Jakoś nie ma na to czasu.

Dawid spojrzał na przyjaciela.

– Ja dopiero drugi raz idę do kina.

– Za to tylko dobre filmy oglądasz, a dzisiaj się pośmiejemy.

– Myślisz?

– No pewnie. Reklamowali przez radio: „Paweł i Gaweł" – komedia roku. Wynalazca dwupento... dwupendo... dodowej, cztero... coś tam heterodyny z podwójnym napędem, no jakieś radio chce sprzedać i całe z tym zamieszanie. Na pewno będzie dużo śmiechu. W końcu to komedia, nie? Pójdziemy jeszcze na drugą część „Znachora", jak będziecie chcieli. Musiałem trochę wyjść z domu, bo przyszedł sąsiad i dyskutują o polityce. Atmosfera nie bardzo w związku z tym, co Niemcy zrobili. Też uważam, że to nie w porządku, ale co my możemy. Niech mądrzejsze głowy się tym zajmują. Od tego są, a każdy powinien robić swoje. Tata też tak powiedział. Mamy piekarnię i chleb robimy, bo jeść każdy musi. W politykę się nie bawimy. Mam nadzieję, że wy myślicie podobnie – zastanowił się chwilę i dodał: – Chociaż z tym Zaolziem, to też nie bardzo.

– Nawet nie wiem, gdzie to jest – odpowiedział Franek. Tata tylko mówił, że gdyby to zależało od niego, to nigdy by tak nie zrobił.

– No, tak – odpowiedział Zenek. Bez Czechosłowacji sobie wszyscy o niej zdecydowali.

Nadeszła słotna jesień. Liście opadły z drzew, a wraz z nimi nadzieja Żydów, że będzie lepiej. Na zachodzie znów zawrzało. Radio i gazety informowały o wydarzeniach jednej strasznej nocy.

– O dzieci Abrahama! Apokalipsa! – rozpoczął szabasowe nabożeństwo rabin, Jakub Goldsztajn.

Nastała długa, martwa cisza. Zebrani w bóżnicy Żydzi stali z opuszczonymi głowami i płakali, niektórzy darli szaty, inni kiwali się i modlili w myślach.

– Synowie i córki Ziemi Izraela! – kontynuował: – W Hitlerowskich Niemczech mordują Żydów i cały świat się przygląda i nikt nic nie robi, na te akty terroru i przemocy. Wszędzie tylko

dyskryminacja, prześladowania i deportacje. Spłonęły setki domów bożych, a wszyscy się tylko patrzyli. Strażacy nie gasili pożarów, ochraniali tylko sąsiednie, Aryjskie domy i sklepy... Piszą w gazetach, że oni mówią, że oczyszczają naród niemiecki z innych narodów – krystalizują... To zwykli bandyci, mordercy. Wystarczy jednemu głupcowi dać władzę i co? Co zrobił? Kto przerwie gehennę naszych braci i sióstr? – rabin uniósł ręce w górę. – O, Jahwe! Czemu, aż tak nas doświadczasz? Czyż nie służymy ci wiernie? Czyż nie jesteśmy na każde Twoje wezwanie? Czyż, jako Naród Wybrany mamy być gotowi, aż do takich poświęceń?

Nabożeństwo przybrało żałobny charakter. Modlono się do Wszechmogącego o to, aby nie zapomniał o wiernych sługach i otoczył ich opieką.

Po wyjściu z bóżnicy rozpoczęły się gorączkowe dyskusje. Strach przed przyszłością, bezradność wobec narastających wydarzeń, żal do Boga o brak wsparcia, ale także oburzenie i groźby pod adresem agresorów. Odczucia społeczności żydowskiej były różne. Rozmowy na ten temat trwały do późnej nocy. W końcu postanowiono wesprzeć pokrzywdzonych braci poprzez zorganizowanie zbiórki funduszy w celu odbudowy zniszczonych synagog, sklepów i domów.

Zabawa sylwestrowa

Franek spotkał Zenka w sklepie mięsnym u Kosteleckiego.

– Cześć. Miałem właśnie iść do ciebie – klepnął przyjaciela po ramieniu.

– O! Cześć – odpowiedział zaskoczony Zenek. – Wyskoczyłem tylko na chwilę. Mama kazała zakupy zrobić. Masz jakąś sprawę, czy tylko chcesz pogadać?

– Sprawa jest poważna, ale nie tutaj – powiedział tajemniczo Franek.

Wyszli razem na dwór.

– Ale dmucha – Franek docisnął czapkę na uszy, aby ochronić je przed mroźnym, zimowym wiatrem.

– To chodź do piekarni, tam pogadamy.

– Wystarczy do bramy – odpowiedział Franek.

Po chwili chłopcy stali w osłoniętym miejscu, w bramie domu Pejgów.

– Niedługo Sylwestra – zaczął Franek. Może byśmy poszli?

– No, może? Ale gdzie?

– W zeszłym roku byliśmy u was na świetlicy. Nie było źle, ale też nie było dobrze i jeszcze wtedy ojciec po mnie przyszedł.

– Ta, nie było źle, tylko ani razu nie zatańczyłeś – uśmiechnął się Zenek. – Czaiłeś się, jak ten czajnik.

– A ty, to taki absztyfikant[65] może? – obruszył się Franek. – Zresztą wtedy nie umiałem tańczyć, a teraz Kaśka mnie trochę nauczyła, no i jesteśmy o rok starsi. Już niedługo osiemnaście lat. Człowieku! Osiemnaście! – Franek złapał się za głowę. – W końcu będziemy dorośli.

– To chcesz iść po to, żeby potańczyć? – Zenek spojrzał z niedowierzaniem na kolegę.

– No… to też, ale chciałbym – zaczerwienił się mimo mrozu – no… chciałbym, żebyś wziął też siostrę.

– Aaaa! Tu jest pies pogrzebany – zaśmiał się Zenek. – A co ja będę z tego miał?

– Targujesz się, jak jaki Icek. Nie możesz po prostu dla kolegi tego zrobić? Tylko broń Boże nie mów jej, że ja chciałem!

– No dobra, ale ty pójdziesz z Kaśką.

– Nawet dobrze, bo coś wspominała, że koleżanki idą. Zabawa jest u nas w tej drewnianej kaplicy, przy kościele.

---

[65] *Absztyfikant – zalotnik, konkurent*

Był mroźny Sylwestrowy wieczór 1938 roku. W dawnym kościółku, służącym teraz jako świetlica dla ministrantów oraz miejsce przeprowadzania loterii fantowych, jasełek i innych uroczystości, zebrali się uczestnicy sylwestrowego balu. Nie było tłoku. Tańczyło niewiele par, choć do tańca przygrywała kapela składająca się z trzech muzykantów. Franek i Zenek z siostrami usiedli na krzesłach pod ścianą.

– To, po to przyszliśmy? – zapytała Kasia. – Żeby siedzieć?

Wstała i pociągnęła brata za rękę.

– Tańczymy – powiedziała krótko i stanowczo.

– Ty też chodź – Milena pociągnęła Zenka i uśmiechnęła się. – Później zatańczę z Frankiem – szepnęła mu do ucha.

Zabawa trwała już dłuższy czas, gdy nagle do środka weszły dwie młode dziewczyny. Zenek mrugnął do przyjaciela, żeby spojrzał w ich kierunku.

– To Bronka i Stasia – szepnął. – Ładne, co? – dodał z uśmiechem. – Pamiętasz, jak chciałeś jajka wysiadywać?

Franek machnął ręką, ale odpowiedział uśmiechem. Nowo przybyłe dziewczęta zostały zauważone przez większość płci męskiej. Ich późne pojawienie się oraz niemała uroda przypominały trochę pojawienie się na balu Kopciuszka.

– No, wchodź. Nie masz się czego wstydzić – powiedziała starsza z nich, Bronka, popychając koleżankę.

– Każda pewnie jest z chłopcem. Kto nas zaprosi do tańca? – spytała Stasia.

Obawa dziewczyny była przedwczesna. Już po chwili podeszli do nich dwaj młodzi mężczyźni.

– Szanowne panie zatańczą? – padła propozycja.

Obie dziewczyny dygnęły uprzejmie i podały ręce na znak, że się zgadzają.

Stasia cały czas tańczyła ze Staśkiem. Czuła się szczęśliwa. Po raz pierwszy była na zabawie. Po raz pierwszy pozwolono jej na to i to tylko dlatego, że niedługo będzie miała swoje 18. urodziny.

Wybiła północ. Wszyscy zaczęli składać sobie nawzajem życzenia.

– Muszę już wracać – powiedziała cicho dziewczyna.

W blasku lamp wydawała się jeszcze piękniejsza. Stanisław ukłonił się i pocałował zarumienioną panienkę w rękę.

– Czy wolno mi będzie odprowadzić panią do domu?

– Ja nie mam domu. Mieszkam u ciotki.

– To proszę o pozwolenie odprowadzenia pani do domu ciotki – ponownie się ukłonił.

Dziewczyna z wahaniem, ale zgodziła się. Z początku szli w milczeniu, ale po chwili chłopak spróbował nawiązać rozmowę.

– Niedobrze nie mieć domu.

– Ja proszę pana jestem biedna, nie powinien pan…

– Co nie powinienem?

– No, nie powinien pan się mną interesować, odprowadzać. Ja jestem tylko służącą.

– Ja też nie jestem z bogatej rodziny. Mieszkam w Pożdżenicach i jest nas w domu dwanaście. Ja jestem najstarszy. Nie przelewa się nam. Bywa, że tylko zupa z rzepy na obiad. Niech lepiej pani o sobie opowie.

– A co tu jest do opowiadania. Całe życie musiałam gdzieś pracować. Mama dała mnie do ciotki, bo sama poszła na służbę do obcych, a jeszcze musi pieniądze łożyć na moje utrzymanie. Jak miałam sześć lat, poszłam gęsi pasać u takiego jednego fabrykanta na Piotrkowskiej. Dwa lata tam byłam. Ciotka dostawała za to od nich wóz gnoju na miesiąc. A jak mi gęsi przez płot uciekły, to tak dostałam od gospodyni po pysku, że pamiętam do tej pory, choć małym dzieckiem wtedy byłam. Potem u różnych służyłam. Prałam, gotowałam, sprzątałam, albo też ogień w Szabas u Żydów się rozpalało i choć na bułkę, czy dwie – dziesięć groszy się dostało. A ostatnie lata na warstacie u ciotki robię. Do szkoły nigdy nie chodziłam, bo i kiedy? Taka niezguła ze mnie – jak mówi ciotka.

– Ale mnie się pani podoba.

Stasia nie odezwała się już, ale serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. „Pani mi się podoba" – dźwięczało jej w uszach.

Franek, Zenek, Kasia i Milena wyszli z zabawy po pierwszej. Szli przy świetle księżyca po iskrzącym się w jego blasku, śniegu. Szli szczęśliwi i weseli.

– Ale zabawa fajna – powiedział Zenek.

Zrobił śniegową kulkę i rzucił w kolegę. Zaskoczony chłopak dostał prosto w czapkę, która spadła mu z głowy.

– Ja ci pokażę! – zaśmiał się Franek.

Zaczęły się gonitwy, do których włączyły się także dziewczęta. Franek dogonił Milenę i objął ją wpół. Ich twarze zbliżyły się do siebie. Spoważnieli. Spojrzeli sobie w oczy.

– A wy, co tak stoicie? – przebiegający obok nich Zenek chwycił ich za ubrania i przewrócił w śnieżną zaspę.

Kiedy wstali, ponownie spojrzeli na siebie. Złapali się za ręce. Szli w milczeniu, aby nie przerwać tej szczęśliwej, pełnej czaru chwili. Ich serca wypełniała radość. Czuli ciepło swoich dłoni. Czuli, że coś się zaczyna.

Pierwsza miłość

Franek położył się do łóżka dopiero nad ranem, ale nie mógł zasnąć. Rozpatrywał minione zdarzenia. Nie wiadomo dlaczego uśmiechał się sam do siebie. Przed oczami miał obraz dziewczyny, która podobała mu się już dawno, ale po ostatnim z nią spotkaniu wiedział, że może zrobić dla niej wszystko, o co go tylko poprosi. Bez żadnego warunku, bez pytania o przyczynę, gotów był poświęcić dla niej własne pragnienia i marzenia, wybaczyć nawet rzeczy niewybaczalne. Był pewny swojego uczucia do Mileny, jak nigdy niczego dotąd. Wiedział, że tego, co czuje, nikt nie jest w stanie go pozbawić.

Kiedy nastał ranek, ubrał się szybko i poszedł w kierunku domu Pejgów, z nadzieją, że choć przypadkiem będzie mógł ponownie spotkać się z dziewczyną ze swoich marzeń.

– A ty, co? – spytał zaskoczony Zenek, kiedy zobaczył kolegę opartego o ścianę, kucającego w bramie jego domu.

– Na ciebie czekam.

– No, ale czemu nie wszedłeś?

– No, wiesz… – wsuwając rękę pod czapkę Franek podrapał się w głowę. – Chciałem porozmawiać.

– Coś mi się widzi, że nie ze mną. Wejdź. Milena w domu.

– Może lepiej nie?

– Oj, chyba was wzięło, bo ona też dzisiaj jakaś zamyślona chodzi. Nawet mama jej się pytała, czy aby się nie przeziębiła na tym Sylwestrze.

Franek zerwał się na równe nogi.

– Mówisz, że zamyślona.

– Noo! – odpowiedział Zenek.

Po chwili Franek usiadł z powrotem.

– Może tylko źle się czuje?

– Tak, bo myśli o swoim chłopaku – dodał poważnie Zenek.

– Ona ma chłopaka? – krzyknął zrozpaczony, zrywając się ponownie.

– No, ma. Tak na mojego nosa… o ile znam moją siostrę, to ma. Ma na imię Franek.

Franek uśmiechnął się.

– To idę – skierował się w stronę wyjścia z bramy.

– Gdzie?

Zenek złapał przyjaciela z tyłu za barki i popchnął w kierunku drzwi do mieszkania Pejgów.

– Właź do środka na pewno się ucieszy.

Od pamiętnego Sylwestra niemal w każdą niedzielę Franek spotykał się z Mileną. Uczucie, jakie powstało między nimi, narastało i dojrzewało z każdym dniem. Łączyła ich zgodność charakterów, wrażliwość, spontaniczność, wzajemne zaufanie, miłość i dobroć dla drugiego człowieka. Czuli, że są dla siebie stworzeni, że to ta jedna, jedyna, prawdziwa, czysta i nieskazitelna miłość.

Nadszedł maj. Soczysta zieleń młodych liści, woń kwiatów i radosny śpiew ptaków napawał radością i optymizmem wszystkich dookoła, a szczególnie tych dwoje młodych, zakochanych w sobie ludzi. Jednak nie samą miłością człowiek żyje. Trzeba zarobić na chleb. Franek pracował w pocie czoła przy budowie synagogi, niemal naprzeciw domu Pejgów.

Budynek nowej, żydowskiej świątyni stał tuż przy ulicy Kościuszki. Był znacznie większy, niż dotychczasowy, drewniany. Miał wysokie okna i kolumny, które wspierały sklepienie. Budowla w stanie surowym była niemal gotowa. Franek, jako młody, zwinny i odważny chłopak pracował zwykle na rusztowaniach. Kiedy zobaczył Zenka, zszedł na dół, jak cyrkowy chłopiec.

– Pójdziemy wszyscy na „Trytwę" na Majówkę? – spytał Zenek.

– Wszyscy?

– No, Dawida i Kaśkę też weźmiemy. Popływamy łódką, potańcujemy – zachęcał.

W ciepłe, sobotnie popołudnie pięcioro młodych ludzi szło ulicą Sienkiewicza w kierunku „Trytwy". Nazywano tak dawne, potorfowe wyrobiska rozciągające się przed Maurycowem, po lewej stronie za ulicą Śmigłego-Rydza, i po prawej, aż do ulicy Piłsudskiego. U Faflaka można było wynająć łódki i kajaki. Kupić w sklepiku limoniadę lub piwo. Miło spędzić czas przy melodiach lokalnej kapeli. Usiedli przy jednym z wolnych stolików. Obok tańczyły w rytm polki dwie pary.

– Najpierw popływamy, czy napijemy się limoniady? – spytał Zenek.
– Nie ma na razie łódek. Wszystkie wypożyczone. Napijmy się, zaschło mi w gardle – odpowiedziała Milena. – Ciepło dzisiaj – dodała po chwili.
Kasia rozsiadła się wygodnie i odetchnęła głęboko.
– Lubię, kiedy jest taka pogoda.
– To znaczy, jaka? – spytał Dawid, spoglądając na niebo.
– Tak spokojnie i ciepło i… – przerwała, kiedy Zenek złapał ją pod stołem za rękę.
– Też lubię taką pogodę – powiedział, patrząc jej prosto w oczy i oczekując jakiejś reakcji z jej strony.
Milena zauważyła zmianę na twarzy koleżanki.
– Co ci się stało?
– Nic – Kasia zaczerwieniła się. – Napijmy się tej limoniady, mnie też zaschło w gardle – dodała.
W tej chwili do stolika podeszła stara Cyganka. Każdego roku na wiosnę w pobliżu Zelowa Cyganie rozbijali swój obóz.
– Powróżyć, powróżyć. Cyganka prawdę powie – zaczęła chrypliwym głosem i chwyciła Milenę za rękę.
Franek spojrzał na starszą kobietę i już miał grzecznie, ale stanowczo ją odprawić, ale Milena powiedziała:
– A nie powiesz mi nic złego?
Kobieta spojrzała na nią poważnie i rzekła:
– Cyganka prawdę powie. Co widzi, to powie. Ty młoda, ładna panienka, ty masz życie przed sobą, ty nie bój się starej Azy.
Milena pokazała dłoń.
– Widzę wielką miłość. Przy tobie młodzian ładny i kocha ciebie, a ty jego. Ciebie dobre i długie życie czeka.
– Teraz mnie – Kasia wyciągnęła lewą rękę.
– Dobre życie masz, pełne miłości. Miłość zostanie, uroda zostanie, ale tęsknota wielka cię czeka.
– Tęsknota? – spytała dziewczyna.
Stara Aza kontynuowała przepowiednię.

– Ty kochasz chłopca, ale widzę drugiego, on też będzie bliski twemu sercu. Ty jego też pokochasz, a serce masz tylko jedno. Ciężki los. Wielka rozterka. Oddasz serce jednemu, tęsknić będziesz za drugim. Oddasz drugiemu, śnić o pierwszym będziesz.
Kasia cofnęła rękę. Nic nie powiedziała.
– Teraz chłopaki – Milena chwyciła rękę Dawida.
– My? – bronił się Franek.
– A co, boisz się?
– No nie, ale najpierw Zenek.
– A, co? Myślisz, że się będę bał? – Zenek położył rękę na stole.
– O! Paniczyk. Delikatna rączka. Życie dostatnie cię czeka, ale i tęsknota. Odważny jesteś. Dla innych wzorem będziesz, oni za tobą pójdą.
– Franek. Teraz ty – Kasia spojrzała na siedzącego obok brata i uśmiechnęła się do niego delikatnie.
Cyganka spojrzała z bliska na otwartą dłoń chłopaka.
– Pracowity i dobry człowiek z ciebie. Miłość ze wszystkich stron cię otacza.
Chciała dodać coś jeszcze, ale zachłysnęła się i zaczęła kaszleć. Zamknęła dłoń Franka i odeszła.
– Co jest? Co sie stało? – spytał zaskoczony chłopak.
Wszyscy milczeli. Tak samo, jak on zaskoczeni byli zachowaniem starej kobiety.

12 maja 1939. Sobota.

Czy ja się kiedyś zakocham, tak jak Franek? Pan Bóg nakazał zakładać rodziny i mieć dużo dzieci, ale czy będę kochał i czy będę kochany? Czy znajdę kogoś takiego, jak Milena?
Ważne jest to, dla kogo się żyje. Franek ma Milenę, Zenek spotyka się z Kasią. Może i na mnie przyjdzie kolej? Mówią, że jedna na dziesięć prawdziwie kocha. To jak znaleźć tę jedną? Jak Tate znalazł Mame?

Przemówienie Becka

Zenek wszedł do zakładu krawieckiego Berkowica.

– Dzień dobry. Dawid wrócił już z pracy?

– A, dzień dobry. Tak, ale pobiegł on jeszcze po kartki i atrament, coś tam ciągle pisze i pisze.

– A co u szanownego pana Pejgi? Jak idą interesy?

– Teraz dobrze, ale kto to wie, jak to kiedyś będzie.

– U, wa! W interesach to trzeba wiedzieć, co należy robić za miesiąc albo dwa, co ja mówię… czasem i rok wcześniej trzeba wiedzieć, co będzie. Mówiłem ci kiedyś, jak to jeden Żyd chciał robić interes i nic mu z tego nie wyszło, bo on nie myślał, co będzie później?

– Nie, chyba nie, panie Berkowic.

– No, bo widzisz, żeby zrobić dobry interes, to musi być tak, żeby ten co z nim robisz interes, był zadowolony.

– Czyli, jak? Przecież wtedy pan traci?

– Ty musisz zrobić tak, żeby on myślał, że zrobił dobry interes, no bo jak by był niezadowolony, to on do ciebie nie przyjdzie robić drugi interes. Więc co to by był za interes, robić taki interes?

Zenek uśmiechnął się i zmienił temat rozmowy.

– A, co u pana?

– Jakoś sobie radzimy. Gorzej, co się wkoło dzieje. Hitler ciągle tylko o wojnie myśli, pakty wypowiada i niezbyt dobrze o Polsce mówi, a już co ma do nas – Żydów, to aż strach słuchać. Armię zbroi. Słowację sobie podporządkował. Tłumy całe za nim, a tłumu nie zatrzymasz. Tłum nie musi myśleć. Strach, jakie czasy…

Drzwi się otworzyły i do zakładu wszedł klient. Zenek odwrócił się w kierunku wyjścia.

– Wyjdę mu naprzeciw. Do Szymańskiego poszedł?

– Nie, do Władysławskiego Chaima, do artykułów piśmienniczych.

Nowo przybyły interesant zwrócił do Salomona.

– Ja do przymiarki miałem przyjść.

– Proszę, już biorę miarę. To spodnie miały być, jak pamiętam?

– Tak, takie jedne lepsze chciałem.

– Materiał łaskawego pana, czy mój ma być?

– To już niech będzie pana.

– Zaraz pokażę. Przedni materiał mam na spodnie, ale najpierw miarę wezmę.

Salomon zabrał się do pracy.

– A słyszał pan, panie Berkowic, co to nasz minister Beck przez radio gadał?

– Na własne uszy nie słyszałem, ale coś tam wiem.

Mężczyzna mówił dalej.

– A dobrze gadał, no bo Hitlerowi to przecież, jak dasz palec, to zaraz całą rękę by chciał, więc dobrze gadał. Polska odepchnąć od morza się nie da. Przecie wiadomo, że chodzi mu o Gdańsk, i o morze, i o całą Polskę. Polaków nie lubi, was, Żydów nienawidzi. Myśli, że panem świata będzie. Wojną straszy, jak nie spełni się jego żądań, ale jak minister Beck mówi: „pokój tak, ale nie za wszelką cenę", a honor jest najważniejszy, bezcenny, no bo cóż wart jest człowiek bez honoru?

Wypadek Franka

Życie zelowian toczyło się stałym rytmem. Codzienne sprawy pochłaniały najwięcej czasu, ale myślano też o oderwaniu się choć na chwilę od obowiązków związanych z pracą, od codziennych zmagań z problemami, od szarej rzeczywistości. Można było miło spędzić czas wolny na łonie przyrody, spotkać się ze znajomymi lub wziąć udział w kulturalnym życiu osady, które kwitło i rozwijało się z dnia na dzień. Szereg kółek teatralnych, chórów, zespołów muzycznych, organizacji charytatywnych za-

chęcały do poszerzania i rozwijania swoich zdolności artystycznych i miłego spędzenia czasu w gronie przyjaciół.

W czeskim ośrodku kultury przy Rynku odbywały się spotkania, podczas których pielęgnowano tradycje, zwyczaje i kulturę czeską. Milena wracała właśnie z próby chóru, kiedy zobaczyła grupę ludzi zgromadzonych wokół nowo budowanej synagogi. Z drżącym sercem podeszła, żeby zobaczyć, co się stało. Miała złe przeczucia. Przedarła się przez gapiów i stanęła, jak skamieniała. Na ziemi, w kałuży krwi, leżał jej ukochany chłopiec. Łzy popłynęły jej po twarzy, ale nie mogła się ruszyć.

– Pewnie nie żyje – powiedziała jakaś kobieta.

– Pani! Dopiero co przechodziłam. Patrze, a tu leci… i jak łupnął na ziemię, to aż zadrżało. Dwa kroki przede mną spadł.

– Rozstąpić się! Rozstąpić!

Murarze biegli już ze wszystkich stron, a wśród nich majster Szkudlarek.

– Franek! – krzyknął i nachylił się nad synem. – Jezus Maria! Franek, Franuś, dziecko moje.

– Doktora! – krzyknął któryś z mężczyzn, po czym zwrócił się do młodego parobka z budowy. – A biegnij no, po doktora Łuczyńskiego, szybciej go wezwiesz. Jezu! Ile krwi! Rozsuńta się ludzie, przecie zaraz na niego wejdzieta.

– Jest doktor! – zawołał ktoś nagle.

– Akurat przechodziłem. Co się stało?

– Odsuńcie się ludzie, to doktor Misjon.

– Przepraszam. Przepuścić proszę!

– Spadł – odezwały się głosy.

– Z samej góry? – Misjon spojrzał na rusztowanie.

– Tak. Będzie z 5-6 metrów.

Wokół zapanowała cisza. Ojciec Franka usiadł na leżących obok cegłach i ukrył twarz w dłoniach. Doktor nachylił się nad leżącym chłopcem, podniósł mu powiekę, skontrolował puls. Starannie, ale szybko wykonał różne czynności, po czym wstał i powiedział:

– Żyje. Jak najszybciej wezwać karetkę. Potrzebne bandaże, opatrzę mu głowę.

Szkudlarek zerwał się, chwycił doktora za barki i potrząsnął.

– Żyje? – spytał, jakby chciał upewnić się, czy się nie przesłyszał.

– Tak, jest nieprzytomny, ma rozbitą głowę, ale żyje, puls słaby. Może mieć połamane kości, może nawet kręgosłup, a pewnie i wstrząśnienie mózgu.

Ojciec zerwał się ponownie. Ukląkł przy Franku i złapał go za rękę.

– Najważniejsze, że żyje. Karetkę! Tak! Do szpitala! Szybko!

– Najlepiej to samemu go zawieźć, bo za nim oni przyjadą… – dodał ktoś z obecnych.

– Prawda – przytaknęło kilka osób.

– U Żyda Siwka są samochody, autobus i ciężarowe. Dwa kroki stąd – poradził ktoś inny.

Szkudlarek przecisnął się między ludźmi i pobiegł do firmy transportowej Siwka i Pruszaka. Na samochodzie ciężarowym, jakim, na co dzień przewożono gotowy towar z zelowskich fabryk do Łodzi, wymoszczono odpowiednie posłanie, aby jak najlepiej uchronić chorego przed wstrząsami i zgodnie z zaleceniami doktora Misjona i doktora Łuczyńskiego, który wezwany dotarł na miejsce wypadku. Delikatnie przywiązali i z największą ostrożnością przenieśli Franka na zdjętych z zawiasów drzwiach do samochodu. Pan Szkudlarek i Zenek, który przybiegł, kiedy dowiedział się o wypadku ulokowali się obok rannego i pojechali w kierunku szpitala w Łasku.

W szpitalu Franek odzyskał świadomość.

– Co się stało? – spytał słabym głosem krzątającej się obok pielęgniarki.

– Obudziłeś się. To dobrze. Miałeś wypadek. Byłeś nieprzytomny.



Autobus z firmy transportowej Pruszaka i Siwka – 1938 r.

– Ale, co się stało? – spojrzał na gips na nogach.

– Spadłeś z rusztowania i połamałeś nogi, prześwietlenia ci porobili, zbadali, w gips wsadzili, na szczęście tylko nogi połamałeś.

– A, to? – dotknął ręką zabandażowanej głowy.

– Głowę też masz rozbitą, ale żadna kość niepęknięta. Zaraz wezwę doktora Balla, on ci wszystko powie.

– Głodny jestem i pić mi się chce.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

– To dobrze, ale najpierw zawołam doktora i powiem twojej rodzinie. Czekają na korytarzu. Dobrze, że tak się skończyło – dodała – bo z początku nie wesoło to wyglądało.

Kurs Obrony Cywilnej

Tego ranka każdy się gdzieś spieszył. Salomon miał do załatwienia sprawy Gminy. Dawid, jak co dzień szedł do pracy, natomiast Sara wybierała się razem z Miriam na zakupy.

– Dawid. Skończ śniadanie.

– Wezmę kanapki – zwrócił się w stronę ojca. – Tate. Po pracy pojadę z Kasią Szkudlarków, Zenkiem i jego siostrą do Franka. Osiemnaste urodziny miał niedawno.

– Nu, jeźdź. Powiedz ty jemu ode mnie „Mazel tov[66]".

– Ode mnie i Miriam też. Prawda, Miriam? – dodała Sara, uśmiechając się do siostrzyczki.

– Tat. Pozdłóf Flanta – odpowiedziała mała.

Wyszli wszyscy razem. Na podwórku czuć było zapach przypalonej owsianki. Młodsze dzieci biegały na boso wokół studni i chlapały się wodą, starsze wychodziły z mieszkań, niosąc na ramieniu związane paskiem książki. Z otwartego na piętrze okna dobiegały odgłosy kłótni. Kłócili się – kto winien, że śniadanie będzie przypalone. Psy ganiały się, wesoło szczekając, a koty leniwie wygrzewały się na dachach w porannym słońcu.

Kiedy Dawid wszedł do budynku gminy zauważył, że coś się dzieje. Pracownicy byli czymś podekscytowani, żywo gestykulowali i głośno rozmawiali.

– Co się stało? – zapytał pana Longina Grodkiewicza.

– Dobrze, że już jesteś. Masz dzisiaj trochę więcej pracy – odpowiedział poważnie urzędnik. Pojedziesz z pismem do szkoły na Sromutkę, do pana Mędrzyckiego. Później do Związku Rezerwistów i do komendanta Straży Ogniowej... i do Powiatowego

---

[66] *Mazel tov – pozdrowienie, życzenie „szczęścia".*

Związku Strzeleckiego. A! To też pan Mędrzycki – on jest prezesem. I jeszcze do Polskiej Organizacji Wojskowej do prezesa Przepiórkowskiego. A te listy do szkół i fabryk, natomiast te, na parafie i do waszej gminy. Jak wrócisz, rozwiesisz na słupach ogłoszenia i plakaty.

Dawid spojrzał na listy. Każdy z nich opieczętowany był podpisem: „Do rąk własnych".

– Poważna sprawa – pomyślał.

Wsiadł na rower i już po chwili gnał w kierunku Sromutki.



Obywatele Zelowa i członkowie Straży Ogniowej na zelowskim Rynku przed pomnikiem T. Kościuszki. W dolnym rzędzie siedzą: drugi po lewej – Zygmunt Wysocki – komendant Straży Ogniowej w Zelowie. Obok jego żona – p. Wysocka, piąty po lewej – Józef Radziszewski, w środku – wójt Gminy Zelów – Kazimierz Gil, pierwszy siedzący od prawej – p. Mielnicki, następny – Bolesław Frezewitte, obok – Leon Kosik, czwarty po prawej – Jan Bartczak, na drabinie po prawej – Józef Zioła, u góry – Władysław Owczarek.



Orkiestra Związku Rezerwistów RP i Polska Organizacja Wojskowa. W środku H. Wyrąbkiewicz. Po prawej – Stanisław Ornaf – 03.05.1938 r.

Stanisław Mędrzycki, wysoki przystojny mężczyzna, nauczyciel wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego, otworzył list i przeczytał:

8 czerwca 1939 roku. Czwartek.

Do Szanownego Pana Stanisława Mędrzyckiego.

W obliczu naszych trudnych czasów i niepewnej przyszłości, zgodnie z wytycznymi wojewody łódzkiego, pana Henryka Józewskiego oraz działając w porozumieniu z wójtem gminy Bujny Szlacheckie – panem Adamem Maksymowiczem, zwracam się do Pana, jako do osoby posiadającej odpowiednie przygotowanie

i zezwolenia, o przeprowadzenie Kursu Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Powyższy kurs obejmować ma ludność cywilną na terenie obu naszych gmin. Wszelkie osoby niezbędne do pomocy w organizacji kursu, jego przeprowadzeniu w szkołach, w fabrykach i w miejscach publicznych zostały już powiadomione o zaistniałej potrzebie i konieczności udzielenia panu wszelkiej pomocy. Odpowiednie zezwolenie otrzyma pan w budynku gminy Zelów przy Rynku nr 7, pokój 3. Tamże otrzyma Pan informacje, gdzie będą rozlokowane (w razie wojny) punkty medyczne, żywieniowe i sanitarne oraz otrzyma pan niezbędny sprzęt typu: maski przeciwgazowe, torby sanitarne, itp. Prosimy o niezwłoczne podjęcie odpowiednich działań zmierzających w tym kierunku.

Wójt Gminy Zelów – Kazimierz Gil.



Kurs Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej – 1939 r.



Legitymacja instruktora Przysposobienia Wojskowego.



Związek Strzelecki – grupa młodsza. Instruktor Stanisław Mędrzycki.



Związek Strzelecki – grupa starsza. Instruktor Stanisław Mędrzycki. Sromutka – 1939 rok.

Prowokacje

Czasy były niespokojne. Wrzało w całej Europie. Roszczeniowe plany Hitlera wobec sąsiednich krajów, przejmowanie kolejnych ziem i wszechobecny antysemityzm nie wróżyły niczego dobrego nie tylko dla Żydów i innych mniejszości narodowych, ale także dla Polski i Polaków.

– Shalom – powiedział Naftali Majer, wiceprezes gminy żydowskiej, wchodząc do pokoju, w którym siedziało już kilka osób. – Na burzę się szykuje – dodał.

– Shalom – odpowiedziało kilku mężczyzn, a między innymi członkowie Rady Gminy Zelów, Josek Siwek i Icek Frydman.

– O czym to tak wy dyskutujecie? – spytał.

– O tym, co piszą – Frydman wskazał leżące na stole gazety.

– Mówisz na burzę się szykuje? Może być burza. Zależy, jaką masz na myśli.

– Marszałek Śmigły-Rydz Amerykanom wywiadów udziela. Stanowczo mówi, że Polska podejmie walkę, nawet gdyby miała się bić sama, bez sojuszników. Do ostatniego mężczyzny i do ostatniej kobiety mamy walczyć o naszą niepodległość. Tak mówi.

Majer zamyślił się.

– A, co wy na to?

– Trudno powiedzieć. Ulegać nie można. Trzeba z pozycji silnego rozmawiać – wtrącił Siwek. – Armię zbroić. Przygotować się, jak na najgorsze. Widzieliście, że w Rynku zbierali na broń dla wojska.

Milczący do tej pory Rozenblum wstał i zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu.

– Ja tam w wojnę nie wierzę. Hitler nie odważy się przeciw Anglii i Francji wystąpić. A ty Salomon? Co nam powiesz?

Salomon odetchnął głęboko i odrzekł:

– Do mnie do zakładu różni ludzie przychodzą, a każdy ma swoje, odmienne zdanie. Jedni mówią, że wojny nie będzie, inni zapasy robią, a tak po prawdzie, to Pan Bóg jest Wszechwiedzący i on wie, jak to dalej będzie. Gorzej, że są tacy, którzy nienawiść między ludźmi szerzą i do własnych porachunków wykorzystują. Napisy na płotach widzieliście? – „Nie kupuj u Żyda". W kilku miejscach na płotach w Rynku i dalej na Kościuszki i na Kilińskiego.

– Widziałeś, kto maluje?

– Nie – Salomon wzruszył ramionami.

– A, co mówią?

– Coś tam słyszałem, ale pewności nie mam. Jest kilku takich, co podobno skądś przyjechali i ludzi buntują. Szykują się ponoć na nowy ład. Listy jakieś robią.

Rozenblum spojrzał na pozostałych mężczyzn.

– Trzeba uważać, co się komu mówi. A spojrzeć krzywo, też niebezpiecznie. Nawet stare sąsiedzkie zatargi mogą zaszkodzić.

– Może by tak przyuważyć, kto tak smaruje? – wtrącił Frydman.

– Będziesz całe noce przy plotach się chował? I co? Nawet, jak zobaczysz, to co zrobisz? Może ich kilku być i jeszcze po głowie dostaniesz?

– To, co robić? – Rozenblum usiadł ponownie przy stole.

Zapadła głęboka cisza. Każdy z obecnych szukał pomysłu na rozwiązanie trudnej sytuacji, ale widać było smutek i przygnębienie na ich twarzach. Po chwili Salomon wstał i powiedział:

– Rozejdźmy się. Już my nic nowego nie wymyślimy, a ranek zawsze mądrzejszy jest od wieczora. Porozmawiamy o tym jutro.



Dawid Berkowic.

Była piękna, sierpniowa noc. Dawid przewracał się w łóżku z boku na bok i nie mógł usnąć. Kiedy zegar na kościelnej wieży wybił pierwszą, wstał i zapalił lampę. Wziął kartki, usiadł przy szeroko otwartym oknie. Spojrzał w górę. Na niebie świeciły tysiące gwiazd. Przyglądał się dłuższą chwilę tej wspaniałej scenerii. Nagle błysnęła iskierka – „spadająca gwiazda" – zachwycił się nieoczekiwanym zjawiskiem. „Żebyśmy tak wszyscy zdrowi byli i żeby nie było wojny" – pomyślał życzenia i zaczął pisać:

10 sierpnia 1939 r.

Dzisiaj wieczorem tate opowiadał, o czym rozmawiali w gminie. Chyba to przez to nie mogę spać. Przez te napisy, co to ktoś na płotach maluje – „Nie kupuj u Żyda". Dlaczego wzywa do nienawiści? Przecież my tu wszyscy razem. Prawda, dużo sklepów naszych, ale przecież i polskie, i czeskie, i niemieckie. Gdzie kto chce, to kupuje. Tam gdzie mu wygodnie, gdzie dobry towar i tanio dostanie. To nie mógł być ktoś z tutejszych, to jacyś obcy, od Hitlera wysłani...

Mobilizacja

Niemal dwa miesiące spędził Franek w szpitalu. Odwiedzała go rodzina i przyjaciele. Milena spędzała z nim wiele czasu, jeżdżąc do niego dwa, a nieraz trzy razy w tygodniu. Kiedy poczuł się lepiej, zezwolono mu na dalszą kurację w domu. Gips miał być zdjęty dopiero za dwa, trzy miesiące. Tymczasem piękny i upalny sierpień dawał mu się we znaki. Długie leżenie w łóżku, nawet pod najlepszą opieką, nie należy do przyjemności. Gdyby nie najbliżsi i ukochana dziewczyna, byłoby mu bardzo ciężko. Jedynymi rozrywkami Franka było przekomarzanie się z rodzeństwem, obieranie kartofli na obiad i słuchanie radia. Pilnie śledził wszystkie informacje dotyczące tego, co dzieje się w Europie.

Wcześniej nie zajmowały go te sprawy, nie miał pojęcia, o co tak naprawdę chodzi w całym tym politycznym zamieszaniu. Teraz mógł już nie tylko o sporcie, ale także o polityce rozmawiać. Kiedy w Rynku odbyła się duża manifestacja mieszkańców Zelowa w obronie „polskiego morza" rozumiał potrzebę jej zorganizowania.



Manifestacja w Rynku w obronie morza – 1939 r.

Wiedział, jak ważny jest dostęp do morza dla takiego kraju, jak Polska. Wiedział też to, że nie możemy, jako kraj, ulec w kwestii Gdańska i „korytarza", czyli oddać część rdzennie polskich ziem, których żądała od nas III Rzesza.

Dni mijały szybko, aż nadszedł koniec sierpnia 1939 roku. Ojciec Franka wyszedł jak zwykle rano do pracy, ale już po godzinie był z powrotem.

– Co się stało? – spytała zdziwiona żona.

Pan Szkudlarek wszedł do pokoju, w którym leżał Franek. Pani Teresa i Kasia poszły za nim.



Zbiórka funduszy na broń dla wojska – 1939 r. Kazimierz Gil – wójt gminy Zelów (w muszce). Bolesław Frezewitte z lewej (w krawacie).

– Gdzie reszta dzieci? – spytał.

– Na podwórku – odpowiedziała drżącym głosem czując, że zaraz usłyszy złe wieści.

– Ogłoszono mobilizację – powiedział suchym, bezbarwnym tonem. – Wszędzie wieszają plakaty.

Pani Teresa zakryła twarz rękami, usiadła na krześle i zaczęła płakać.

– Czyli wojna? – spytała Kasia.

– Nie. Mobilizacja.

– Czyli, co?

– Prezydent Rzeczypospolitej zarządził mobilizację, czyli powołał do czynnej służby w wojsku wszystkich mężczyzn od 18.

do 40. roku życia i wezwał do bezzwłocznego zameldowania się w Rejonowej Komendzie Uzupełnień, odpowiedniej dla miejsca zamieszkania lub zgodnie z kolorami kart, jakie otrzymali wcześniej. Ja takiej karty nie dostałem, więc zgłoszę się do Rejonowej Komendy w Pabianicach.

– Dzisiaj?! – pani Teresa niemal krzyknęła.

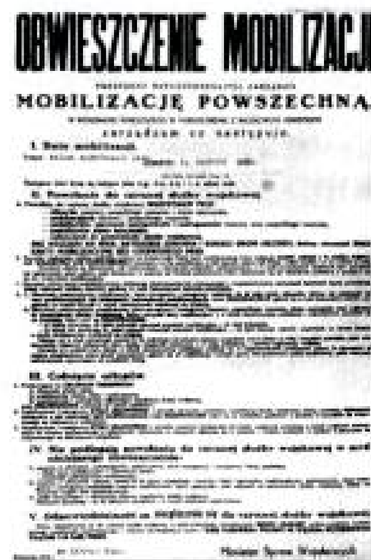
– Nie, jutro. Pierwszym dniem mobilizacji jest czwartek, 31 sierpnia. Na Rynek mają przyjechać autobusy, będą nas po kolei zabierać.

– A co ze mną? – spytał Franek.

– No… byłeś na komisji w szpitalu, po twoich urodzinach.

– No tak, ale…

Szkudlarek przerwał synowi.



OBWIESZCZENIE MOBILIZACJI

MOBILIZACJĘ POWSZECHNĄ



Plakat o Mobilizacji Powszechnej i strona od Karty Mobilizacyjnej Stanisława Mędrzyckiego.

– Mają twoje dokumenty, wiedzą o chorobie, dlatego wyznaczyli ci drugi termin – na stycznia, jak wydobrzejesz.

Nagle usłyszeli pukanie do drzwi.

– To Zenek i Milena – powiedziała Kasia wprowadzając gości do pokoju.

– Przyszedłem się pożegnać.

Zenek usiadł na brzegu łóżka obok Franka.

– Na wojnę idę.

Pani Teresa spojrzała na męża.

– A mówiłeś, że to tylko mobilizacja?

– Bo mobilizacja. Jeszcze żadnej wojny nie ma i niech Bóg da, żeby nie było. Zenek wstał.

– Ale, jakby była, to będę walczył o Polskę. O Polskę! O kraj moich przodków i o całą Europę – dodał z dumą.

Franek spojrzał błagalnym wzrokiem na przyjaciela i uśmiechnął się.

– Weźmiesz mnie z sobą?

– Chyba na ten wózek, co to na nim handlowaliśmy. Pamiętasz?

Przez chwilę zaczęli wspominać dawne przygody: mecze na podwórku, przebitą piłkę, wakacje i ziemiankę. Nagle Franek spoważniał.

– Jak wydobrzeje, to ci pomoge, beze mnie przecież nie dasz rady wymłócić Hitlerowi skóry.

– Zanim ty wydobrzejesz, to już będzie po Hitlerze. Raz dwa z nim skończymy. Słyszałeś przecież. Anglia i Francja są z nami. To są potęgi.

– Mój ojciec też idzie – odpowiedział Franek – i Mateusz z Karolem, i inne chłopaki, i Mietek Kapuściński. Ten, co to na Kilińskiego u Kosika mieszka. Pamiętacie, jaką bramkę kiedyś strzelił?

Franek uniósł się nerwowo na rękach i podciągnął wyżej.

– Tylko ja, cholera, leże!

– I dobrze! I nie przeklinaj – wtrąciła pani Teresa. – To jedno, co dobre w tym nieszczęściu.

– Tak, tak. Za młodzi jesteście – dodał pan Ignacy.

Zenek podszedł do Kasi i złapał ją za rękę.

– Za kilka miesięcy będę miał dziewiętnaście lat.

Szkudlarek uśmiechnął się i westchnął.

– No tak, tak. To nasz obowiązek wobec Ojczyzny. Uważaj tylko chłopcze. Wszyscy uważajcie. Wojna nie wygląda tak, jak myślicie. Byłem – to wiem, co mówię.

– A, Dawid? – spytał Franek.

– Byłem u niego w pracy. Niezły tam teraz rozgardiasz. Ci, co pracują w gminie, to w większości zostają. Na miejscu będą organizować obronę cywilną. Dawida też wpisali na listę i zostaje, że niby tu bardziej się przyda.

Franek przytaknął głową.

– Pewnie, że tak. Karabin dla niego za ciężki.

– No, muszę już iść – uścisnął mocno przyjaciela. – Wrócę, zanim ci gips zdejmą. Acha! Przyniosłem ci taką książkę „Lekarka domowa". Kasia położyła ją w kuchni. Może ci się przyda, poczytaj sobie.

Zenek pożegnał się z panią Teresą i zwrócił się w kierunku jej męża:

– To, co panie Ignacy, pogonimy Hitlera?

Szkudlarek uścisnął chłopaka „po ojcowsku". W oku zabłysła mu łza.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Zenuś.

Kasia odprowadziła Zenka na klatkę schodową. Stanęli naprzeciw siebie. Jej ciemne oczy błyszczały od łez. Chłopak objął ją i pocałował.

– Nie płacz. Wrócę.

Szybko odwrócił się i zbiegł po schodach.

Cześć druga

„A więc wojna..."

Był 1 września 1939 roku. Niebo na horyzoncie powoli przestawało być czarne, a między drzewami, widoczna była jasna poświata. Dookoła słychać było pojedyncze głosy budzących się ze snu ptaków, które z minuty na minutę zmieniały się w gwar codzienny, oznajmiający krzątaninę ptactwa, które miało swoje sprawy i nie bardzo interesowało się cudzymi. Dzień wstawał okryty porannymi oparami mgły. Po skwarze poprzedniego dnia chłód nocy spowodował, że zieleń pokryta była rosą, której krople widoczne były na każdym źdźble trawy, na każdym listku i na delikatnych, pajęczych niciach babiego lata. Blade, zamglone słońce leniwie przebudzało się ze snu. Kryło się jeszcze, jakby bało się tego, co zobaczy. Nad Zelowem nie było chmur, więc poranne promienie z wolna zaczęły wdzierać się przez uchylone okna do domów i do chałup, pod dachy i pod strzechy, rozświetlały ulice i podwórza. Dorośli powoli budzili się ze snu i szykowali do podjęcia codziennych obowiązków.

Dzieci spały jeszcze, ale skończyły się wakacje i czas było iść do szkoły na uroczyste akademie. W domach na krzesłach, leżały przygotowane, wyprane i wyprasowane mundurki szkolne, a w teczkach lub przewiązane paskiem, podręczniki i zeszyty.

Nagle, wczesnym rankiem, rozdzwoniły się kościelne dzwony. Franek obudził się i nasłuchiwał.

– Mamo, co się dzieje? – zawołał. – Do pioruna z tym moim gipsem! – dodał do siebie.

Wziął kule oparte o brzeg łóżka i wolno pokuśtykał w kierunku okna. Pozostali domownicy także się obudzili. Pani Teresa, pełna złych myśli, wyprzedziła syna i szeroko otworzyła okno wychodzące na ulicę Kilińskiego.

– Dzwonią w naszym i w czeskim – powiedziała.

– Co się stało mamo? – pytały dzieci jedno, przez drugie, przepychając się, aby także wyjrzeć.

Po ulicy, w kierunku Rynku, biegli ludzie. Coś krzyczeli.

– Wojna! – dało się wreszcie usłyszeć.

To jedno słowo spowodowało, że pani Teresa zrobiła się blada i osunęła się na krzesło.

Cały Rynek wypełnił się zatroskanymi, pełnymi obaw ludźmi.

– Wojna! Wojna! – powtarzali jeden do drugiego.

– Skąd wiadomo? Czy, aby pewna wiadomość? – spytał ktoś z nadzieją, że może to tylko plotka, jakich niemało słyszało się wcześniej. – Chodźmy do proboszcza. On będzie wiedział najlepiej – machnął ręką na pozostałych ludzi, jakby chciał, żeby poszli za nim.

– Na pewno – odpowiedział urzędnik z magistratu. – Niestety, to nie plotki. Niemcy nas zaatakowali. Przekroczyli granice.

Stojący z tyłu młody człowiek spytał:

– Ktoś słuchał radia?

– Właśnie! Trzeba nakręcić radio – padło kilka odpowiedzi.

– Chodźmy do księdza proboszcza – powtórzył mężczyzna, który wcześniej rzucił taką propozycję.

– Tak – przytaknęło kilka kobiet – ksiądz dobrodziej ma radio.

Kilkadziesiąt osób poszło w kierunku kościoła rzymskokatolickiego, do proboszcza Zygmunta Zycha.

Kiedy podeszli, zobaczyli tłum ludzi okalających plebanię, a w oknie budynku wystawione na parapecie radio. Po chwili usłyszeli komunikat:

„Halo! Halo! Tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś rano o godzinie piątej[67] minut czterdzieści, oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc Pakt o Nieagresji. Bombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszą państwo komunikat specjalny…".

[67] *W oficjalnym (oryginalnym) komunikacie radiowym podawana jest godzina piąta, a nie czwarta, jako czas rozpoczęcia działań wojennych.*

Radio zatrzeszczało.

Oczekując dalszych słów spikera, zebrani ludzie wsłuchiwali się w głęboką ciszę, jaka zapadła dookoła, bojąc się głębiej odetchnąć. Po chwili ponownie usłyszeli słowa płynące z głośnika.

„A więc wojna! Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek Narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym. Walka, aż do zwycięstwa!"

Proboszcz wyłączył radio. Nastała długa i przejmująca cisza. W końcu ksiądz Zych odezwał się donośnym, ale spokojnym głosem:



Ksiądz Zygmunt Zych.

– Uklęknijmy teraz wszyscy i pomódlmy się do najświętszej Marii Panny, patronki naszej, o wstawiennictwo i opiekę. Później rozejdźcie się do domów, ale miejcie wiarę w waszych sercach, bo nie zginęła Polska, póki my żyjemy.

Po chwili milczenia dodał:

– W południe zostanie odprawiona Msza Święta w Rynku, za ojczyznę naszą umiłowaną i za naszych bliskich, którzy stanęli w jej obronie.

W zatrwożonych sercach zelowian pojawiła się iskierka nadziei, że może nie będzie tak źle, że z pomocą Bożą, wszyscy razem, damy radę. Słowa kapłana wypowiedziane z serca zasiały to ziarno nadziei. Pozostała jednak obawa i strach o zdrowie i życie najbliższych, którzy poprzedniego dnia, i dziś, i jutro mieli iść na wojnę.

W pewnej chwili zobaczyli najeżdżające od strony Sromutki konne wozy, które ciągnęły jeden za drugim w dość szybkim tempie, jakby przed kimś, lub przed czymś, uciekały. Na nich kobiety, dzieci i mężczyzn. Obok nich paki i tobołki, gdzieniegdzie misy, garnki, kierzanki[68]. Wóz za wozem. Końca kolumny nie było widać.

– Ludzie, co się stało? Dokąd wy jedzieta? – pytania padały ze wszystkich stron.

– Zatrzymajta się! - kilka osób zastąpiło im drogę.

Jadący w przodzie woźnica gwałtownie ściągnął cugle. Wozy zatrzymały się.

– My z Wielunia. Wojna! Miasto do cna zniszczone. Wszystko się pali. Wszystko zburzone. Samoloty przyleciały i bomby zrzucały. Pozabijali wszystkich – mówił przerażony.

[68] *Kierzanka – drewniane naczynie klepkowe do ubijania masła.*

Kobiety i dzieci szlochały. Ich płacz udzielił się wszystkim dookoła. Ksiądz Zych, który wyszedł zobaczyć co się dzieje, starał się przekrzyczeć ogólny lament.

– Ludzie. Gdzie jedziecie? Odpocznijcie. Dostaniecie jeść i pić. Zajeżdżajcie pod kościół.

Pierwsi uciekinierzy skręcili w kierunku plebanii. Co chwilę dołączali nowi, jadąc od strony Maurycowa i ulicą Kościuszki, od strony Pożdżenic. Niektórzy jechali dalej w kierunku Zelówka, inni przystawali, aby napoić konie przy pompie w Rynku. Jeszcze inni robili zakupy w sklepach. Ksiądz Adamczyk, wikariusz parafii, przyniósł wodę i pieczywo. Rozdał je potrzebującym.

– I znowu wojna – powiedziała starsza kobieta, ocierając rąbkiem spódnicy zapłakaną twarz. – Panie Boże! Czy nadejdzie kiedyś czas, żeby choć jedno pokolenie bez niej żyło?

Wysoki mężczyzna w średnim wieku podszedł do swoich bliskich.

– Musimy odpocząć.

Zdjął z wozu kilkuletnie dziecko i przeniósł na rękach, sadzając je na ziemi. Dziewczynka miała nogę w gipsie owiniętym białą, szeroką chustą.

– Musi odpocząć – powiedział do księdza.

– Ranna? – spytał ksiądz Zych.

– Nie, ale prosto ze szpitala. Będzie z miesiąc temu, jak spadła z drabiny i nogę sobie złamała – spojrzał na córkę, która siedziała oparta o drzewo. Doktor powiedział, że nogi nie da się uratować, że trzeba amputować…, ale się nie zgodziłem. Wczoraj zabrałem ją do domu i chwała Bogu, dzisiaj ledwie z życiem uszliśmy. W piątki u nas w Wieluniu targ. Ja handluję kierzankami, tarami, sitami i takimi tam do gospodarstw różnymi sprzętami. Stanąłem jeszcze w nocy, żeby dogodne miejsce zająć. Jeszcze było ciemno, jak zaczęły się zjeżdżać chłopskie furmanki, a kiedy zaczęło świtać, zawyła miejska syrena. Myślałem, że to ćwiczenia, bo już bywało, ale zobaczyłem samoloty. Obleciały nad miastem, później lot zniżyły i słychać było świst okrutny i wybuch. Pył prze-

słonił wszystko, a szyby z okien powylatywały. Schowali się wszyscy pod wozy. Dobrze, że konie były wyprzęgnięte i przy drzewach stały powiązane, bo tak dęba stawały, że pewnie by poniosły. Znowu pokazały się niemieckie samoloty i zrzuciły bomby na budynki mieszkalne. Zebrałem, co się dało i popędziłem zabrać rodzinę. Ledwie żeśmy odjechali, już pocisk trafił prosto w nasz dom. Zmiótł go do szczętu...

Jechaliśmy szosą na Piotrków. Po drodze widziałem nasz szpital. Wszystko w gruzach. Przy szpitalu, na drzewach, wisiały ciała martwych ludzi... Matko Boska, dziękuję tobie, że kazałaś mnie wczoraj to dziecko zabrać. I znów po bombowcach, nadleciały myśliwce i do bezbronnych kobiet, dzieci i starców... – mężczyzna ukrył twarz w dłoniach, ale po chwili mówił dalej. – Na ulicach też byli zabici i ranni. Panika i popłoch w całym mieście. Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach: i pieszo, i na furmankach, nawet w samej bieliźnie uciekali. Widziałem, jak rowerami jechali z tobołkami na plecach. Głównie na Brzeziny i na Warszawę wszyscy uciekali. Czemu tam? Nie wiem. My też na oślep jechaliśmy, byle dalej od pewnej śmierci... Chyba do brata pojedziemy, do Grójca, no bo gdzie?

O dwunastej zebrali się w Rynku mieszkańcy Zelowa, którzy chcieli uczestniczyć we Mszy Świętej odprawianej przez proboszcza parafii rzymskokatolickiej. Z przyległych do osady wsi zjechali z całymi rodzinami okoliczni chłopi. Wszyscy z powagą i spokojem wsłuchiwali się w słowa liturgii. Razem modlili się i prosili Boga o pomoc.

– Módlmy się za Ojczyznę naszą, kraj przodków naszych... Módlmy się za obrońców naszych, naszych mężów, braci i synów, aby zdrowi i cali do nas powrócili... Módlmy się o to, aby podstępny i zdradziecki Niemiec nie zniewolił Narodu Polskiego.

– Wysłuchaj nas Panie – odpowiadali wierni.

Na koniec rozbrzmiały słowa pieśni, która w trudnych chwilach jednoczy Polaków, dodaje sił i wiary, że jesteśmy zwarci i gotowi, że będziemy bronić ojczyzny i honoru polskiego żołnierza:

„Nie rzucim ziemi skąd nasz ród... Nie damy, by nas gnębił wróg!... Do krwi ostatniej kropli z żył bronić będziemy ducha, aż się rozpadnie w proch i w pył krzyżacka zawierucha. Tak nam dopomóż Bóg! Tak nam dopomóż Bóg!"

Po nabożeństwie Teresa Szkudlarek podeszła razem z dziećmi do brata i bratowej, którzy przyjechali do Zelowa furmanką.

Przywitała się bez słów i ze łzami w oczach. Rozejrzała się wokół, jakby kogoś szukała.

– Ojciec i mama w domu zostali – powiedział Bolesław, wyprzedzając jej pytanie. – My po was przyjechali i do sklepu. Nafty trzeba kupić, świece, kaszy większą ilość, no i inne potrzebne rzeczy.

Teresa załamała ręce.

– Jak ja mam to wszystko zostawić? Przecież okradną w taki czas. Sami ciasno macie, gdzie jeszcze my? – dodała. – A jeszcze Franek... Nie, nie pojedziemy.

Stasia objęła szwagierkę, a próbując namówić ją do zmiany decyzji powiedziała:

– Może nie będzie tak źle, ale na wsi zawsze bezpieczniej wam będzie, niż tu. Nie słyszałaś, co się w Wieluniu stało?

Szkudlarkowa zawahała się przez chwilę.

– Jak będzie źle, to wyślę do ciebie Kaśkę z dziećmi – powiedziała, patrząc na brata, – bo Franek to by musiał na wozie. Kupcie, co musicie. Tylko szybko, bo widzicie, co się dzieje przed sklepami. Niedługo nigdzie nie będzie towaru. Ja już rano kupiłam, co trzeba i zapasy zrobiłam. Także z myślą o was, bo nie wiedziałam, czy przyjedziecie, więc co nieco dla was też mam. A kaszy to kupcie prosto z kaszarni od Wejmana. Worek, czy dwa, to wam sprzeda. Zawsze ma coś więcej w magazynie.

Przecież wiesz Bolek gdzie. Na Kilińskiego, pod 19-tym. Powiedźcie Wejmanowej, że jesteście ze mną rodziną. To moja dobra koleżanka, na pewno wam drogo nie sprzeda. I powiedz jej, że jeszcze dzisiaj do niej zajrzę.

– Zastanów się jeszcze, Tereniu – prosiła zmartwiona Baczmagowa, wsiadając na wóz.

– Nic nam nie będzie. Nie martwcie się o nas.

Franek wysłuchał odprawionej w Rynku mszy, siedząc w domu przy otwartym oknie. Nie widział stamtąd ołtarza, ale słyszał śpiew zebranych wiernych. Modlił się gorliwie za ojca, kuzynów – Mateusza i Karola... i za Zenka, za wszystkich bliskich i znajomych, którzy pojechali bronić ojczyzny. Kiedy wrócili pozostali domownicy, zapytał:

– I co będzie, mamo?

Matka objęła syna i przytuliła. Po chwili zwróciła się do najstarszej córki:

– Weź córcia dzieci i zajmij je czymś. Na dwór niech nie wychodzą.

Kiedy zostali sami, spojrzała Frankowi prosto w oczy.

– Jesteś już duży... i ty i Kasia powinniście wiedzieć, że różnie może być... Ale będziemy się trzymać razem. Przygotujemy się, jak na najgorsze, chociaż na pewno nic złego się nie stanie. Mamy trochę gotówki i moją biżuterię, i futro. Musimy to tylko dobrze schować i jakoś przeczekamy. Jak Bóg da, to wcale wojny nie zobaczymy. Za ojca będziemy się modlić i jestem pewna, że szybko i zdrowy do nas wróci, a gdyby się coś działo, to zawsze możemy do dziadków, do Bujen. Ciocia z wujem chcieli nas zabrać już dzisiaj, ale postanowiłam, że zostaniemy w Zelowie.

Franek pocałował mamę w rękę.

– Dobrze mamo zrobiłaś, dobrze. A twoją biżuterie, to możemy w pokoju, w lufcie schować. Tam jest taka dziura od środka, bo kiedyś wyjąłem kawałek cegły, jak sie ręke głęboko włoży i da w prawo, to sie ją wyczuje. Miałem tam kiedyś swoje skarby

schowane – uśmiechnął się do matki, a ona potargała mu lekko włosy na głowie.

– Skarby? – powiedziała z uśmiechem. – A dziurę w ścianie, to ładnie robić?

Tego dnia wszyscy pracownicy zelowskiego Urzędu Gminy postawieni byli w stan gotowości już o piątej rano. W sąsiednim Posterunku Policji policjanci dyżurowali od dnia ogłoszenia mobilizacji. Zgodnie z przyjętymi wcześniej wytycznymi i poczynionymi przygotowaniami organizowana była obrona cywilów w przypadku nalotu bombowego. Pomagali w tym członkowie Związku Rezerwistów RP. Stanowiska Ciężkich Karabinów Maszynowych ustawione były na dachach budynków: szkoły numer 1 i na budynku Kosika, przy ulicy Kilińskiego 26. W gotowości była Straż Ogniowa. Pozyskano i wyposażono dodatkowy samochód, aby można było prowadzić akcje gaśnicze jednocześnie w dwóch miejscach. Dawid dwoił się i troił, by dostarczyć we wskazane miejsca przygotowane pisma. Po południu z pomocą kilku chłopców rozwiesił na słupach i płotach Orędzie Prezydenta II Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, do Narodu Polskiego.

„Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego... Zwracam się do wszystkich obywateli państwa w głębokim przeświadczeniu, że cały Naród w obronie swojej wolności, niepodległości, honoru skupi się dokoła Wodza Naczelnego i Sił Zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi... cały Naród Polski pobłogosławiony przez Boga w walce o swoją świętą i słuszną sprawę zjednoczony z armią pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa".

Drugi dzień września był kolejnym, w którym mieszkańcy osady i okolic szykowali się do wojny. Większość towarów ze sklepowych półek wykupiono już poprzedniego dnia, a w nielicznych sklepach otwartych w sobotę robili zakupy, przejeżdżający ciągle przez Zelów uciekinierzy z Wielunia i jego okolic.

Do wyjazdu szykowali się także niektórzy zelowianie. Pakowali swoje dobra, wsiadali na wozy i jechali do rodzin, na wieś lub dalej – w kierunku Brzezin, Warszawy i wschodnich ziem polskich. Cały czas podawano przez radio informacje o tym, co dzieje się na froncie. W lokalnej prasie informowano obywateli o sposobach ochrony przed nalotami bombowymi i atakami gazowymi. Proszono o unikanie paniki i o przygotowanie zapasów wody, środków opatrunkowych i żywności. Nakazywano zaklejanie okien taśmami, żeby szyby nie wylatywały i spadające odłamki nikogo nie pokaleczyły. Informowano o obowiązku obrony ojczyzny i wstępowania do Armii. Na pierwszej stronie gazet wydrukowano odezwę Zarządu i Rady Naczelnej Rabinów Rzeczypospolitej Polskiej:

„Bracia w Izraelu, Obywatele Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej! Odwieczny wróg napadł w niecny, nikczemny sposób na naszą tak gorąco przez nas umiłowaną Ojczyznę, Polskę. Wyzuty dosłownie z czci, wiary i wszelkich uczuć ludzkich, niesie on mord, rabunek i pożogę. My Żydzi, dzieci tej ziemi od zamierzchłych czasów, stajemy wszyscy w karnym ordynku, zwarci i opanowani, na wezwanie pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza, aby bronić naszej ukochanej Ojczyzny, każdy na wyznaczonym mu przez władze posterunku i oddamy, gdy zajdzie tego potrzeba, na ołtarzu Ojczyzny, nasze życie i nasze mienie bez reszty…"



Odezwa Związku Rabinów

– Czytałeś odezwę, tate? – spytał Dawid podczas obiadu, na który wpadł podczas krótkiej przerwy w pracy.

Salomon nie odpowiedział, jadł dalej.

– Tate! Czytałeś?

– Czytałem – rzekł ojciec, przerywając posiłek.

Wyczuwał w tonie głosu syna jego kolejne pytanie.

– Nu, przecież nie zostawię was samych. I tobie synu też niech nie przyjdzie do głowy iść na wojnę. Wiesz ty przecież, że tu jesteś potrzebny. Kto by za ciebie latał z pismami – wykrzywił usta, udając uśmiech. – I ja też mam tu w Gminie dużo roboty. Wiesz, ile jest naszych w Zelowie. Sami my musimy się o siebie zatroszczyć.

Chłopak spojrzał pytająco na Sarę.

– Posłuchaj tate. Ma rację – powiedziała.

Dawid machnął ręką i podnosząc głos, powiedział.

– Zenek poszedł, Mateusz i Karol – kuzyni Franka, tata Franka, i kuzyn Berek poszedł, i od Goldmana chłopaki, i … Wszyscy walczą, tylko nie my – odwrócił się i pośpiesznie wyszedł z mieszkania.

W sobotę po południu Szkudlarkowa zabrała córki i poszły do Wejmanów.

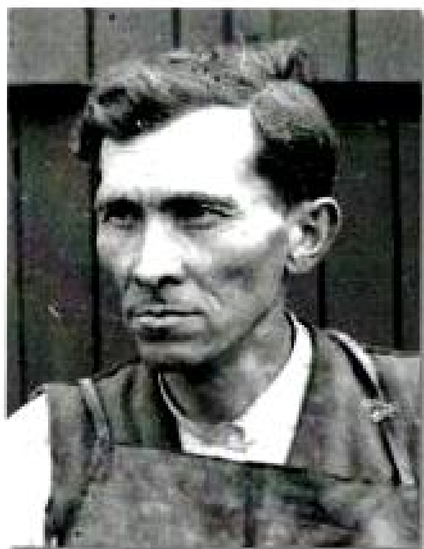
– Czekałam wczoraj – powiedziała Maria Wejman, otwierając im drzwi.

– Tak Marysiu, miałam przyjść wczoraj, przepraszam cię kochana, ale inne sprawy nie pozwoliły – Teresa pocałowała gospodynię w policzek na przywitanie, po czym zwróciła się do dzieci.

– Idźcie do Jasi.

– Tak – dodała jej mama – idźcie do ich pokoju. Jest Ziutek i Zygmuś, przyszła Lucynka Ulańskich i Helcia Pejgów i Zosia Graczyk z Janeczką Topolską, pobawcie się czymś.

Po pewnym czasie do kuchni wszedł mąż pani Marii, właściciel domu, pan Adam Wejman. Człowiek średniego wzrostu, w białej płóciennej koszuli i oficerskich butach.



Adam Wejman

– Dzień dobry – powiedział od progu.

– Nie wiem, czy taki dobry, Adamie? – Teresa podeszła i przywitała się ze znajomym.

– Prawda, prawda. Co to ja miałem … – podrapał się w głowę. – A! Już wiem. Marysiu – zwrócił się do żony – idź no do dzieci i przycisz im tego grajka, albo wyłącz, bo już sąsiad mi mówił, że wojna, a u nas muzyka leci, że nie wypada, że gdyby nas nie znał, to pomyślałby sobie, że się z tego cieszymy.

Pani Wejman załamała ręce.

– Jezus Maria! Prawda. Nawet przez myśl mi nie przeszło. To przecież tylko dzieci. Patefon nastawiły i płyt słuchają. Co one tam rozumieją, że wojna. Ale, prawda. Już idę.

Pan Adam zasiadł przy stole i zwrócił się do gościa.

– No, to znowu ciężkie czasy idą. Kto wie, co to teraz będzie? Po chwili dodał:

– Ignacy poszedł?

– Ano, poszedł – odpowiedziała cicho Szkudlarkowa.

– Dacie sobie radę? Bo jakby co, to na nas zawsze możecie liczyć.

– Dziękuję ci – odpowiedziała Teresa.

– A, jak Franek? – Adam zmienił temat rozmowy.

– Za miesiąc gips mają mu zdjąć i zobaczymy. Mówił doktor, że od razu to nie będzie chodził, bo trzeba osłabione mięśnie wyćwiczyć, a tak, to nieźle. Milenka go odwiedza i koledzy – przerwała na chwilę. – Zenek Pejgów też poszedł. Na ochotnika się zgłosił. W tym Frankowym nieszczęściu, to chociaż to dobre, że o niego nie muszę się martwić, bo by z ojcem razem...

– Tak… – zadumał się pan Adam. – Nasz sąsiad z naprzeciwka też poszedł na ochotnika. W wielu rodzinach teraz mężczyzn brakuje. Golczyk, mój lokator, ten, co w gminie pracuje, mówił, że poszli przede wszystkim ci, którzy dostali karty, ale nie brakowało także ochotników, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn. Zapasy jakieś macie porobione? Może ci gryki trzeba? Ludzie teraz wszędzie się przygotowują, całe beczki nafty zakopują do ziemi, żeby był zapas i od zaprószenia ognia ochronić – wyjaśnił. – Sól, kaszę, karbid, świece wykupują, wszystko co może być potrzebne, a się nie psuje. Mięso też peklują w beczki i do ziemi. Sam wczoraj świniaka oporządziłem, zimą w ziemi się nie zepsuje. Co cenniejsze rzeczy po różnych skrytkach chowają. Sąsiad mi mówił, że swój Virtuti, który dostał za wojnę bolszewicką w ścianie zamurował. Toż samo z obrączkami i pierścionkami robią. Pieniądz traci na wartości z dnia, na dzień. Kasę Stefczyka Zdziechowski zamknął. Bank zamknięty. A nie myślałaś, by do rodziny na wieś jechać, bo wielu wyjeżdża. Bombardowania się boją.

Teresa dotknęła oburącz ręki przyjaciela.

– Bóg ci zapłać za troskę. Już wczoraj brat z bratową po nas byli, ale póki co nie mogę zostawić wszystkiego samopas.

Jak Bóg da, to wszystko szybko się zakończy i będziemy znowu śmiać się i radować.

– No, w razie byłoby gorzej, to ja też przygotowany jestem na wyjazd. Życie to cenna rzecz, trzeba je ratować, jak się da. I swoje, i cudze.

W niedzielny ranek wszędzie było cicho i spokojnie, a słońce grzało tak mocno, jakby to był sam środek lata. Gdyby nie wiadomości i zdarzenia ostatnich dwóch dni, nikt w Zelowie nie domyślałby się nawet, że trwa wojna. Co prawda było powszechne oczekiwanie – „co będzie dalej?" – Ale po komunikacie podanym przez radio o przystąpieniu do wojny naszych sojuszników, panowało ogólne przekonanie, że wszystko będzie dobrze.

„No, to teraz Anglicy i Francuzi rozprawią się Hitlerem" – powtarzano głośno. „Jeszcze kilka dni i będzie po nim", „Wojna potrwa najdłużej dwa, trzy tygodnie" – twierdzili „znawcy polityki" rozgłaszając swoje teorie każdemu, kogo spotkali na ulicy.

Koło południa nastroje ponownie uległy zmianie. Nad Zelowem, wysoko na niebie, pojawiły się lecące w szyku samoloty. Bombowce zbliżały się wraz z przytłumionym, złowrogim pomrukiem. Zrzucą bomby, czy nie? – zastanawiali się wszyscy, obawiając się najgorszego scenariusza. Na szczęście zagrożenie minęło. Samoloty poleciały dalej. Inni nie mieli tego szczęścia. Bomby spadły gdzie indziej, na polskie miasta i wsie, zabijając wiele ludzkich istnień, niszcząc dorobek życia mieszkańców polskiej ziemi.

I znów w Zelowie pojawiły się wozy, jechało ich coraz więcej i więcej.

– Szczerców się pali – krzyczeli ci, którzy już zaciągnęli języka.

Niektórzy mieszkańcy pobliskiego Szczercowa zatrzymywali się u rodzin w Zelowie. Zwłaszcza wiele rodzin żydowskich miało tu swoich bliskich. Zelowscy Żydzi przyjmowali ich u siebie

w domach. Władze kahału umieszczały ich we wszystkich możliwych do zamieszkania miejscach. Przejściowo, nawet nowo budowana synagoga stała się mieszkaniem dla uciekinierów – córek i synów Abrahama.

U Berkowiców zatrzymali się sąsiedzi z czasów, kiedy Berkowice mieszkali w Szczercowie – Michał Łaznowski razem z żoną i dziećmi – czteroletnim Abramkiem i nieco starszą – Chaną.

– U was w Zelowie będziemy bezpieczni – powiedział Michał, młody, wysoki mężczyzna o ciemnej karnacji i kruczoczarnych włosach.

– Dlaczego tak myślicie? – spytał gospodarz.

– Wy żyjecie od lat z Niemcami i Czechami. Wam krzywdy nie zrobią.

– Nu, może masz rację – powiedział Salomon i zwrócił się do syna.

– Spójrz Dawid na Niemców, oni spokojnie siedzą: Gicel, Lange, Lusz, Drajling, nasz sąsiad – szewc Kelm, felczer[69] Zielke, piekarz Gleizer i wielu innych.

– Ale tate, tylu ludzi chce wyjechać – Dawid miał wątpliwości.

– Nie będziemy nigdzie wyjeżdżać. Damy sobie radę synu, a „Poszukujący chały, może stracić cały chleb".

Drugą, dużą grupę uchodźców stanowili Polacy. Zatrzymali się w Rynku i na poboczach głównych ulic. Pożywiali się i poili konie. Mieszkańcy osady znów przyszli z pomocą, przynosząc chleb i wodę do picia. Zatroskani zelowianie pomagali rodzinom i obcym, słuchali opowieści zdruzgotanych, zapłakanych ludzi.

– Niemcy podpalili nasze domy, strzelali do ludzi, wrzucali granaty do mieszkań... Nie ma już Szczercowa. Spaliło się wszystko – szlochała siedząca na wozie starsza kobieta.

[69] *Felczer – zawód pomocniczy uprawniający do świadczenia pomocy medycznej.*